



PRENUMERATA W WARSZAWIE:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie ub. 7 kop. 20. — Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.

Cena numeru pojedynczego kop. 20

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

● POSWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM. ●

Wychodzi pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

Ekspedycja główna: ul. Nowy-Świat 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administr. „Bluszczu” po kop. 15 za wiersz nonparelowy lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim: We Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu”, Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincji z przes. poczt. kor. 6.60. W Krakowie u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincji z przesyłką pocztową kor. 6.60.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,80 rub.

Sz. Prenumeratorów uprzejmie prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty na kwartał IV. Księgarniom, które nie wniosły opłaty za kwartał III-ci, wstrzymaną zostanie wysyłka pisma.

Kaz. Przerwa - Tetmajer.

GRA FAL.

Powieść w związku z „Królem Andrzejem”.

54)

I nie, nie się nie posuwało naprzód. Czarne, płomienne źrenice gorzały nad nią, usta jednak nie mówiły jednego słowa, któreby było słowem nadziei. Zdawało się, że kwestya, która wypełniała duszę Koreckiej, obok uczucia miłości, które ją wypełniało, nie istnieje dla bohatera jej wyobraźni. Na dźwięk imienia Polski uśmiechał się obojętnie, a nawet, Korecka to rozumiała, z ukrywaną i maskowaną niechęcią, wzgardliwością i nudą.

Z nudą...

„Nie powinniśmy już dłużej nudzić sobą świata”...

Lecz w miarę, jak wieści o wybuchłej chorobie papieża wydobywały się z za tajemniczych murów Watykanu, na czoło kardynała Murri występowało zamyślenie, aż w końcu zdawało się, że jedna jakaś ważna myśl wypchnęła z jego głowy wszystkie inne mniej ważne i oswadła nim całym.

Przed kardynałem Murri otwarły się nagle drzwi gmachu, o którego istnieniu wiedział, którego wnętrze znał i wiedział, że nadejść może chwila, kiedy się drzwi te przed nim otworzą, dla myśli jego nie było to nowem; lecz gdy ta chwila rzeczywiście się zbliżyła, kardynał Murri doświadczył,

jak bardzo różną jest myśl daleka od myśli blizkiej.

Co wydawało mu się iż spotka spokojnie, bez wzruszenia, to wstrząsało całą jego naturą, całem jestestwem.

A w miarę, jak myśl nowa, nowy horyzont ogarniały duszę kardynała, wszystko, czem żył przedtem i dotąd, poczęło mu się stawać niepotrzebne, niewłaściwe, obojętne, małe i bez znaczenia.

Policzone już były dni nowego conclave.

Kardynałowie z dalekich stron poczęli się już zjeżdżać do Rzymu, pełni zgrozy świętej z powodu potwornego zamachu na katedrę Świętego Piotra, z której cudem wywiedziony wstąpił na ruiny zdrów i cały, jakoby tryumfujący kardynał Murri.

Nazwisko jego było na ustach wszystkich.

Kardynał wiedział o tem, spotykał się z tem osobiście, dowiadywał od ludzi, z gazet.

Był jednym z najbliższych kandydatów dy tyary.

Uczuł też potrzebę jakoby wyrestaurowania na nowo domu swego wnętrza — na wszelki wypadek.

Od bohatera swej wyobraźni Korecka poczęła uczuwać pewien chłód, skrywany,

ale skrywany tak, aby znać było, że się go przez delikatność i dystynkcyę natury ukrywa.

Korecką poczęła ogarniać wstyd — a zarazem rozpacz.

— Czyż więc nie, nie — rzekła wspierając głowę na rękę — nie się dla mego nieszczęśliwego kraju uczynić nieda?

— Niewątpliwie, księżno — odpowiedział kardynał Murri. — Bóg pamięta o nim i niepozwoili mu zginać.

— Ale ludzie nie dlań nie chcą uczyć! — wybuchnęła boleśnie Korecka.

— Ludzie? To nie jest w niczyjej mocy, a raczej jestto w mocy tych, którym, jak księżna wie dobrze, zależy na najgłębszej niedoli Polski. Nikt inny nie tu uczynić nie zdoła.

— Nikt?!

— Nikt. Z ręką na sercu mówię

Kardynał Murri czuł, że mówi prawdę, a równocześnie egzaltacya, dyletantyzm polityczny i pretensya do niego, choć niewypowiedziana, Koreckiej, niecierpliwiły go, spoglądał na nie, jak na rzeczy nieznośne.

I Korecka wydała mu się, jakoby symbolem tej Polski, o której słyszeć i mówić wbrew swej woli musiał.

Błada, smutna, melancholiczna, zamy-

ślona, rozgoryczona, bezsilna, zboląla, pełna fantazyi, dyletantyzmu, skora do egzaltacyi, uniesień, łatwowierna, pełna nadziei i rezygnacyi i — nudna.

Nudna.

Kardynał z niesmakiem, z niechęcią popatrzał na Korecką.

Mimo; że była piękna, dystygowana, szlachetna z twarzy i postawy, wykuintna, dobra, i mimo, że go uwielbiała.

Korecka dostrzegła to.

— Nudzę sobą eminencyę — ozwała się.

— Ależ księżno! Czyż jest na świecie człowiek, którego by pani nudzić sobą mogła?!

— Eminencyo, jednak tak jest Nudzę cię. Czuję to. Znudziłam cię.

Kardynał zawahał się. Człowiek zmysłów mówił w nim: nie! — człowiek ducha: tak!

Był moment postąpienia.

Korecka powstała nagle z fotela, oparła się dłonią o stół i zaczęła wzburzona:

— Eminencyo! Postaw się w naszym położeniu! Niechcemy nie tylko ginąć, ale dłużej tak żyć, tak istnieć! To jest jeden ucisk, jedno bezprawie, jeden gwałt! Jeden ból, jedno cierpienie, jedna krzywda! Drugi wiek! Dusimy się! My nie jesteśmy już nie winni! Męczą nas, dręczą! Odbierają nam swobodę duszy, myśli, mowy, oddechu! Z potężnego narodu staliśmy się paryasem Europy, chcą nas zgładzić, wytepić! Wydierają nam ziemię, katują dzieci nasze, niepozwalają nam być Polakami! My —

— Polska — pomyślał kardynał Murri i wrażenie nudy i przesytu wymalowało się na jego twarzy.

— Eminencyo! — urwała Korecka.

— Ależ droga księżno — rzekł kardynał — tak piękny, rycerski i szlachetny naród zginąć nie może. Mielście przyjaciół, Lamartine'a, Micheleta, Tancreda, Canonico, Piusa dziewiątego. Nawet Bismarck oddawał sprawiedliwość waszym przymiotom, a wasza kultura, wasza ogłada towarzyska, wasza literatura i sztuka znajdują powszechne uznanie. Ufajcie w Bogu i czekajcie.

Korecka walczyła z sobą. Jej duma wskazywała jej drzwi, serce i wiara, że *tu* właśnie jest miejsce jej obowiązku, przykuwały ją do posadzki.

A jednak kardynał już nie maskował się. Na czole jego widniała myśl inna, myśl nieskończenie większej dla niego wagi, a obojętność świeciła mu na ustach.

— Wiesz, księżno — zaczął niespodzianie — że Ojciec Święty jest ciężko chory..

— Tak, wiem — odpowiedziała Korecka.

— Najważniejszy wypadek świata może nastąpić —

— Obiór nowego papieża?

— Tak. Pani, jako katoliczka, odczuwasz to niewątpliwie tak silnie, jak odczuwać powinien każdy wierny syn kościoła i każda wierna jego córka. Czy możesz sobie pani wyobrazić, co dzieje się w sercu człowieka, który za parę tygodni może mógłby stać się panem dusz kilkuset milionów ludzi i bezsprzecznie pierwszym, najwyższym i najwybitniejszym człowiekiem świata? W takim sercu muszą się otwierać głębie nieznane i muszą w niem rość góry o niedojrzanych szczytach.

— Myślę, eminencyo — odparła szczerze Korecka — że wiesz, co się w sercu takiego człowieka dzieje, będąc jednym z kandydatów do tyary.

Murri spostrzegł się, że znalazł się, jak człowiek prosty i ordynaryjny. Zmieszał się i zawstydził, Korecka zaś, która ciągle stała obok stołu, padła nagle przed nim na kolana i wybuchnęła z egzaltacją:

— O eminencyo! Gdy zostaniesz papieżem —

Wówczas nie zapomnę o waszym nieśczęśliwym kraju, niezapomnę — odpowiedział jej kardynał rubasznie, przeciągając się lekko w ramionach z nudy i niechęci i dotykając obojętną ręką jej skroni.

Korecka dźwignęła się. Zrozumiała, że i co do niej samej, jako kobiety, nastąpił już przesyt. Skłoniła się głęboko i od niesłychanie zdumionego kardynała wyszła bez słowa, ze spuszczonei oczyma.

Murri porwał się z fotela. Lecz jego silna, potężna wola szepnęła mu: stój!

Pył, choć barwny i miły oku, schodził z jego drogi, z drogi, na której nie, prócz władzy i pychy być nie powinno.

Słyszał, jak Korecka wychodziła z drzwi na schody, jak wyszła.

— Emilia..

Postąpił krok, aby za nią pobiedz, zatrzymać ją — lecz stanął.

Potrójna złota korona wysadzana drogiemi kamieniami majaczyła mu nad głową, nie czuł się samotny, ni opuszczony — władza i pycha ujęły go pod ręce.

Przybliżył się ku oknu i wyjrzał.

Korecka szła pieszo, ubrana czarno, elegancka i wytworna w czarnych piórach na kapeluszu i czarnem okryciu. Szła ze spuszczoną głową, zgnębiona, zrozpaczona, zrezygnowana, sama jedna. Naokoło biegły po ulicach Rzymu radośnie strojne, w jasnych sukniach i kapeluszach Włoszki, Francuzki, Niemki, Rosyanki, Angielki i Amerykanki, pełne świergotu, życia, wesela i pragnień.

— Ambasadorka Polski — rzekł kardynał półgłosem patrząc za Korecką. Wyszła... Bez słowa... Ładny gest — dodał.

— Głupia! — zakończył machnąwszy lekceważąco ręką.

(DCN.)



Dla dobra niewidomych.

25

„Czem jest człowiek niewidomy ze społecznego punktu widzenia? Niestety, podług opinii bardzo wielu ludzi — jest to jakaś zupełnie odrębna istota, niepożyteczna, bo nie biorąca udziału w życiu i pracach społeczeństwa, dla którego jest albo ciężarem, albo mu sprawia kłopot, gdyż ubogi niewidomy skazany jest na żebranie, zamożny — na bezczynność, a obydwaj — pogrążeni w nieświadomości — już tem samem usunięci są od celów życia i pracy ogólnej“.

Powyższem zdaniem zaczyna swą broszurkę, pod tytułem: „Pożyteczni niewidomi“ Maurycy de la Sizeranne, założyciel stowarzyszenia Valentin Haüy w Paryżu.

„Tak, nie trzeba się łudzić — mówi dalej p. de la Sizeranne — przez długi czas niewidomy sprawiał ambaras i był tylko ciężarem — a i dzisiaj jeszcze w bardzo wielu miejscach można skonstatować taki smutny stan rzeczy, że pewna siła ludzka pozostaje nieprodukcyjna, jakaś kopalnia — że użyję tego porównania — nienaruszona, niewyżytkana“.

I dalej, opierając swe twierdzenia na przykładach, autor stara się przekonać czytelnika, że niewidomi — nawet tacy, którzy już z kalectwem na świat przyszedli — mogą się stać bardzo pożytecznymi, inteligentnymi a nawet względnie szczęśliwymi ludźmi. Trzeba się tylko nimi zająć od lat najmłodszych. Dziecko, pozbawione wzroku, a tem samem wielu rozrywek, potrzebuje tem większej pieczołowitości, tem lepszej nauki — a naukę tę wchłania w siebie bez wszystkich tych przeszkód, które zmysł wzroku nieustannie nasuwa, wywołując mimowolne roztargnienie u dzieci fizycznie normalnych. Trzeba więc dziecko ślepe tem staranniej rozwijać, kształcić jego inne zmysły, a nadto wyrabiać w nim energię, samodzielność, tłumić wrodzoną lękliwość, dostarczać mu, obok pokarmu umysłowego, dużo rozmaitych przyjemności *), nauczyć

*) W innem dziele: „Wrażenia i wspomnienia niewidomego“, Maurycy de la Sizeranne twierdzi, że naprz. podróżowanie sprawia niewidomym wielką przyjemność, że wchłaniają oni mnóstwo wrażeń za pośrednictwem słuchu, powonienia, czucia, — że wykształcony niewidomy orientuje się bardzo szybko, nawet w nieznanym sobie przedtem miejscowości. Wystarczy mu jednorazowe przejście z przewodnikiem po mieście, najlepiej w nocy.

pracy i zamięłowania do niej, jednym słowem, ze staraniem umiejętnem a ciąglem — rozwijać wszystkie jego władze fizyczne i duchowe.

Jeżeli się w ten sposób dziecko niewidome wychowuje i kształci, stanie się ono bezwątpnie człowiekiem pożytecznym, żywą częścią swego społeczeństwa, a w duszy jego zamieszka cicha pogoda, którą daje przeświadczenie, że się nie jest pasorzytem, korzystającym tylko z cudzej pracy.

*

*

*

Pierwszym człowiekiem, który pomyślał o kształceniu i racjonalnem wychowywaniu niewidomych, był mało dotychczas przez ogół znany i niedostatecznie za życia ceniony Valentin Haüy. Urodził się w roku 1745 w Saint Just Oise we Francji. Syn tkacza, zajmował w ministerjum spraw zagranicznych bardzo skromną posadę, którą rzucił nagle, aby się poświęcić na usługi niewidomych, ulegając porywom swego szlachetnego serca i gorącej, nieomal płomiennej, duszy.

Ów pierwszy nauczyciel niewidomych doszedł do przekonania, że u ślepych można rozwinąć i wykształcić dotyk tak bardzo, iż poniekąd zastąpi im wzrok. Po długich rozmyśleniach, jakie byłyby najlepsze środki i sposoby do osiągnięcia celu, założył w Paryżu w swym własnym domu w r. 1784 pierwszą szkołę dla niewidomych. (Szkoła ta, to obecny Instytut Narodowy dla młodych niewidomych). Valentin Haüy wpadł także na pomysł, aby drukować książki dla niewidomych drukiem wypukłym, bo w jego czułem sercu budziły się coraz to nowe pragnienia osłodzenia doli nieszczęśliwych ślepych.

Ów wielki filantrop, trochę fantasta, nie zyskał sobie jednak sympatyj Pierwszego Konsula, a za czasów Cesarstwa popadł w zupełną niełaskę. W roku 1806 kazano mu opuścić Francję, a jego szkołę przyłączono do szpitala „Quinze-Vingts“. Haüy pojechał do Petersburga i tam założył szkołę dla niewidomych. W przejeździe przez Berlin i tam poddał myśl stworzenia podobnej instytucji. Po upadku Napoleona wrócił do Francji, gdzie umarł w roku 1822. Napisał dziełko pod tytułem: „Rozprawy o wychowaniu niewidomych“.

Podwalina do nowej pracy została więc położona.

Lata biegly.

Na wielu próbach, dociekaniach, dzieło szlachetnego założyciela zaczęło się na serio rozwijać: udoskonalano metody, zakładano coraz to nowe szkoły.

Louis Braille (ur. 1809 r.), niewidomy od dzieciństwa, oddany został do Instytutu Narodowego w Paryżu (dawnej szkoły Haüy.) Nauki ukończył świetnie; był później jednym z najlepszych profesorów tegoż Instytutu i wymyślił tak zwaną „Metodę Braille'a“, t. j. litery, cyfry, nuty, wyrażone za pomocą wypukłych, rozmaicie skombinowanych, punktów.

Od tej chwili świat nauki i wiedzy stał się dla niewidomych otworem!

Metodę Braille'a przyjęto we wszystkich cywilizowanych krajach.

Zaczęto drukować podręczniki, mapy, nuty, zadania arytmetyczne.

Każde dziecko niewidome może więc dzisiaj tak jak wszystkie inne, posiadać wykształcenie umysłowe i zawodowe, może się stać pożytecznym członkiem społeczeństwa, a nawet wśród niego wyróżnić *).

Niewiele jednakże znaczą i najlepsze systemy, najracjonalniejsze metody, jeżeli ich nie można zastosować i w czyn wprowadzić.

Najwięcej jest dzieci niewidomych wśród ludności ubogiej, najliczniejszej niestety, w każdym społeczeństwie. Ponieważ rodzice z tego środowiska niezawsze troszczą się o upośledzone dzieci — czy z obojętności, czy z nieświadomości, nawet w krajach, gdzie nie brak dobrych zakładów dla niewidomych, — a zatem utworzyło się we Francji stowarzyszenie dla dobra niewidomych, nazwane „Valentin Haüy“ ku wspomnieniu pierwszego opiekuna i nauczyciela ociemniałych.

Maurycy de la Sizeranne jest, jak już wyżej powiedziałam, tego stowarzyszenia założycielem, nadto głównym sekretarzem, jego duszą i jego sercem. Sam niewidomy od dziewiątego roku życia — siły, czas, majątek, inteligencję, jednym słowem życie całe poświęcił swym niewidomym współbraciom. Kierując całą pracą stowarzyszenia, redaguje nadto dwie specjalne gazety dla niewidomych, (drukowane Braille'm), pisze dziełka, broszury.

Stowarzyszenie Valentin Haüy jest jakoby ognisko, żarzące istic chrześcijańską miłością bliźniego, którego gorące promienie nie tylko ogrzewają Francję całą, ale rzucają światło i ciepło i po za jej granice: myśl zamieniono w czyn — słowo szlachetnego Haüy stało się ciałem. Niewidomi mają obecnie we Francji 16000 opiekunów, bo tylu członków liczy już dzisiaj stowarzyszenie.

Ma ono na celu badać, zastosowywać, rozpowszechniać wszystko, co mogłoby się przyczynić do kształcenia niewidomych, do przynoszenia im ulgi, tak pod względem moralnym jak i materialnym.

Ażeby ten cel osiągnąć, Stowarzyszenie postanowiło:

1) Czuwać nad dziećmi niewidomymi, zabierać je ze środowiska, w którym nieraz niegodni rodzice starają się wykorzystać kalcetwo dzieci, zmuszając je do żebraniiny; umieszczać je w szkołach.

2) Ułatwiać starszym niewidomym naukę jakiego rzemiosła i pośredniczyć w sprzedaży przedmiotów przez nich wykonanych.

3) Pomagać w znalezieniu pracy: stroicielom, organistom, nauczycielom muzyki, masażystom.

4) Opiekować się starszymi niewidomymi i starcami.

5) Rozpowszechniać książki drukowane Braille'm.

Staraniem Stowarzyszenia powstała w Chilly Mazarin „Szkoła dla zacofanych nie-

*) Amerykanka Ellen Keller, niewidoma i głuchoniema. Ukończyła świetnie uniwersytet, napisała swe pamiętniki; wspomniany Braille, Maurycy de la Sizeranne i wielu innych.

widomych“, t. j. dla dzieci upośledzonych fizycznie i umysłowo.

Powstały „Kursa dla masażystów“. Uznano bowiem masaż za zajęcie bardzo odpowiednie dla niewidomych, z powodu ich nadzwyczajnie delikatnego dotyku.

Założono „Atelier dla starszych kobiet“ gdzie się uczą szyciarki. Założono: „Pracownię torebek papierowych“ dla tych, którzy już w późnym wieku wzrok utracili i z powodu braku inteligencji lub zręczności — nie zdolni są do nauczania się jakiejś trudniejszej roboty.

Stowarzyszenie ma swą stałą siedzibę w Paryżu przy ulicy Duroc № 9. W domu tym mieszczą się:

1) Biuro Informacyjne, zawsze czynne, które wysłało w ostatnim roku sprawozdaniem samych listów w sprawach niewidomych 20 tysięcy.

2) Muzeum Valentin Haüy, założone w roku 1886 przez M. Guilbena; zgromadzone tam prace (niektóre prawdziwe dzieła sztuki) wykonane zostały tylko przez niewidomych.

3) Bibliotekę Valentin Haüy, która gromadzi wszystko, co już było napisane albo pisze się gdziekolwiek o niewidomych.

4) Bibliotekę Braille'a, założoną w roku 1884, a obejmującą już 26000 tomów różnej treści, oraz ogromny zapas nut. Książki te bywają wysyłane i rozpożyczane na całą Francję. Biblioteka rozwija się z dniem każdym. Książki są wytłaczane na maszynach lub odbijane ręcznie przez osoby dobrej woli, które w tym celu zapoznały się z systemem Braille'a, wreszcie duplikaty bywają kopiowane przez niewidomych, którym się tym sposobem dostarcza zarobku.

5) Redakcyje pism: „Le Louis Braille“ i „La Revue Braille“, odbijane metodą Braille'a, oraz: „Le Valentin Haüy“, odbijany zwykłym drukiem dla osób, interesujących się sprawami niewidomych.

6) Składzik, w którym sprzedają wszelkie przyrządy do pisania, rachunków, służące jednym słowem do nauki niewidomych.

7) Sklep, w którym sprzedają przedmioty wykonane przez niewidomych. (Koszyki, meble z zakresu koszykarstwa, trykotaże, roboty sznurkowe, szczotki, scyzoryki, nożyczki). Wszystkie te przedmioty są wykonane doskonale. Ceny normalne.

Stowarzyszenie rozwija się bardzo pomysłnie. W roku 1909 bezinteresownych kopiałów było 1300; 46 ognisk biblioteki latającej, czytelników 1200; przeczytano tomów 40000. W sklepie stowarzyszenia sprzedano towaru za 37 tysięcy franków. Torebek papierowych sfabrykowano 14605000. Stowarzyszenie uzyskało 830 biletów wolnego przejazdu koleją dla przewodników niewidomych. (Płaci jedna osoba za bilet, jadą dwie. Stroiciele, masażysty, nauczyciele muzyki). Umieszczono 31 dzieci w szkołach specjalnych, 15 dziewcząt w schronisku Chilly-Mazarin. Stomatkom niewidomym dawało Stowarzyszenie robotę do domu (szycie, trykotaże, roboty szydełkowe. 900 starcom niewidomym dawano wspomnienie, a część ich umieszczono w przytułkach. Rozdano biednym niewidomym 12000 sztuk odzieży, 400 sztuk mebli i t. d.

Mimo tak wielką ruchliwość i zapobiegliwość nie udało się jednak dotychczas Stowarzyszeniu ogarnąć swą opieką wszystkich niewidomych we Francji, których liczba dochodzi do 40000.

Jeżeli więc w bogatej i wolnej Francji gdzie rząd subsyduje szkoły, gdzie jest tyle dobrych i wielkich zakładów dla niewidomych, gdzie pracuje tak dzielnie i energicznie szesnastotysięczne Stowarzyszenie — są jeszcze niewidomi, pozostający bez opieki, — to cóż się musi dziać u nas? w naszym biednym, nieszczęśliwym kraju, w którym każdy postęp mający dobro społeczeństwa na celu, tylko na prywatnych siłach i prywatnej inicjatywie oprzeć się może?

Pomimo starań — nie mogłam zebrać danych statystycznych co do ilości niewidomych w Królestwie Polskim. Sądję jednak, że w stosunku do zaludnienia, cyfra nie będzie niższa, jak we Francji.

Gdzież więc się podziewają? co robią? jaki żywot pędzą? owe tysiące niewidomych dzieci, dorosłych, starców? Aż strach pomyśleć o tem!...

Oprócz małej garsteczki dzieci w Instytucie Ociemniałych, w którym — dla wiadomych przyczyn — rozwój umysłowy nie może się odbywać racjonalnie, reszta ze szczętem marnieje. Bez nauki, bez rzemiosła w rękę, bez podstaw moralnych, bez zrozumienia godności człowieczej — biedny ślepiec słyszy nieraz wśród ubogiego swego otoczenia, że jest darmozjadem, że miejsce drugim zabiera i że powinien iść prosić jałmużny; w zamożnym domu tego nie słyszy, ale nieraz czuje, że jest zawadą, kłopotem — i to jeszcze stokroć bardziej boli... Zaiste, są to istoty bardzo biedne, bardzo pożałowania godne, bardzo nieszczęśliwe!...

A jednak niewidomy p. de la Sizeranne twierdzi, że ociemniałi mogą być nawet względnie szczęśliwi, a zawsze pożyteczni i do tego wniosku każdy przychylić się musi, kto zwiedzi instytucję „Valentin Haüy“. Tam wykształceni niewidomi oprowadzają gościa po całym wielkim piętrowym domu, wszystko mu tłumaczą i to ze swobodą, sprawnością i pogodnym obliczem. Tam pracują w biurze przepisują książki, notują żądania, objaśniają przyrządy tylko niewidomi, a są tak ze wszystkim obznajmieni, tak pewni w ruchach, tak każdą rzecz od razu znajdują, że trzeba sobie ciągle przypominać, iż ów miły, inteligentny przewodnik słyszy nas tylko, a nie widzi.

Z powodu trudnych i ciężkich warunków — my wydziedziczeni, pozostajemy od pewnego czasu zawsze w tyle we wszystkich kulturalnych pracach Europy. Daleko więc i naszym niewidomym do życia niewidomych w innych krajach. Książki polskie metodą Braille'a nie istniały dotychczas. Nikt się także dotychczas nie troszczył, aby znaleźć dla niewidomych odpowiednie zajęcie, pracę ich spieniężać, żeby dziecko niewidome tak wychować, aby się czuło istotną, nieodłączną częścią swego społeczeństwa. Co dawniej

zrobiono dobrego w tym kierunku, zostało zepsute, zaniedbane, spaczone, skrzywione...

Jednakże obecnie nadzieja polepszenia doli niewidomych zaczyna świtać. Dzięki usiłowaniom Róży hr. Czackiej, prawnuczki gorliwego syna ojczyzny, Tadeusza Czackiego, powstała myśl założenia Stowarzyszenia na wzór Valentin Haüy. Garsteczka ludzi dobrej woli zaczyna się kupić około inicjatorce, która sama chorując od lat kilku na oczy, odczuwa tak gorąco jak p. de la Sizeranne przykre położenie niewidomych i tak jak on pragnie złagodzić ich cierpienia.

Adwokat Stanisław Bukowiecki, który także pozbawiony jest wzroku, przyklasnął wraz z swoją czcigodną matką, Zofią Bukowiecką, tym szlachetnym zamiarom i zabrał się do opracowania ustawy, która ma być niebawem przedstawiona władzy do zatwierdzenia. Kilka osób z najbliższego otoczenia panny Czackiej, zapoznało się z metodą Braille'a i z wielką pilnością wybija ją na ręcznej maszynie książki. Ukazał się już „Latanik“ Sienkiewicza, „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ Tomasza à Kempis i kilka innych.

Pierwsze ziarno na naszej niwie rzucone. Oby setny plon wydało! Oby przyszłe stowarzyszenie rozrastało się tak szybko, jak we Francji. Gdy więc usłyszymy, że zostało już zatwierdzone, zapiszmy się gromadnie na listę członków. Niech każdy śpieszy ze swą ofiarą, chociażby to był grosz wdowi.

Wszyscy szczęśliwi, którym los dozwolił oglądać niebios błękity, cieszyć się blaskiem słońca i ziemi pięknnością, wszyscy ci — niech wspomną w danej chwili o nocy bezustannej, w jakiej pogrążeni są biedni niewidomi, a nie mogąc rozjaśnić ich oczu, niech się przyczynią do rozjaśnienia wzroku ich duszy, do otarcia łez z ciemnych źrenic, niech ich uchronią od wyciągania ręki po jałmużnę, niech ich nauczą pracy, niech im pomogą, aby przestali być ciężarem i zawadą społeczeństwa, lecz stali się jego pożytecznymi członkami.

Jadwiga Warnkówna.



Więcej światła...



Upłynęło zaledwie kilka lat od założenia „Kursów pedagogicznych dla kobiet“, przez J. Miłkowskiego, a dziś już można stwierdzić, że ziarno rzucone na glebę nauki wydało już piękne owoce. Kursa rozwijają się z roku na rok coraz bardziej, rozszerzając swój program naukowy i skupiając w swych salach (ul. Wiodok 16) coraz liczniejsze zastępy słuchaczek, które tu nie tylko zdobywają głębszą wiedzę ale również kończąc swoje studia, wychodzą jako poszukiwane kandydatki na nauczycielki na pensjach i w domach prywatnych.

Rezultaty kilkoletniej działalności kursów dowodzą niezbicie, że kierownik zakładu

jak również profesorowie ożywieni są gorącą chęcią sprostania swemu szlachetnemu zadaniu i że umiejętnie stosują te metody i obierają te drogi, które najłatwiej i najrychlej wiodą do pożądanego celu.

Program nauk na „Kursach pedagogicznych“ rozpada się na dwa działy, humanistyczny i realny. Pierwszy usiłuje przynosić słuchaczkom wiedzę z zakresu nauk humanistycznych i ogólno-kształcących — drugi uwzględnia w jak najszerszym pojęciu wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych i matematykę. W ten sposób oba działy w czasie trzechletnich studiów mają dać kursistkom całokształt wiedzy współczesnej, przyczem niejedną jej gałąź jest wyczerpująco przestudowana a nawet sięga do najnowszych zdobyczy dociekań naukowych. Nadto wykładane są na kursach nauki, które tworzą bazis pedagogiki nowoczesnej a mianowicie psychologia, historia pedagogiki, metodyka ogólna i logika. W ten sposób zdobywają słuchaczki po za zakresem specjalnych gałęzi wiedzy i te wiadomości, które ułatwiają im następnie pracę na polu nauczycielskim i przygotowują je do umiejętnego oceniania zjawisk życiowych.

Zastanawiając się nad programem nauk, wykładanych na kursach, możemy zaznaczyć, że dbałość o nieustanny postęp w kierunku pedagogicznym jak i czysto naukowym jest na każdym kroku widoczny.

Doświadczenia każdego roku są śnać pilnie reasumowane i odpowiednio do potrzeb kursów wprowadzane są inowacje.

Repetycje, referaty i seminaria mają uzupełnić wiedzę słuchaczek zdobytą na wykładach. Repetycje są ważne dlatego, bo dają profesorom możliwość orientowania się w tem, w jakim stopniu dana słuchaczka opanowała pamięciowo i rzeczowo przedmiot wykładany — referaty wdrażają umysły młode do samodzielnego myślenia i do wytycznego sądu w zakresie studiów — seminaria stawiają słuchaczkę u wspólnego stołu pracy razem z profesorem, dzięki czemu jej teoretyczna wiedza musi ulegać przeobrażeniom skutkiem prac doświadczalnych. W tym stopniu, w jakim to jest konieczne, aby teoria nabrała giętkości w stosowaniu principów i wskaźników teoretycznych do praktycznych celów i do doświadczalnych analiz.

Tym sposobem zadość uczyniono najwyższej maksymie naukowej uznanej obecnie na Zachodzie, która domaga się, aby suche teorie naukowe, jakie zdobywa się na ławie szkolnej, równocześnie uzupełniać wiedzą praktyczną w obrębie studyowanych przedmiotów, bo taka nauka usunie z jednej strony scholastyczność, której pozbyć się nie jest zdolna żadna wiedza teoretyczna, nieoparta o współrzędne studia eksperymentalne, a z drugiej strony zapobiegnie zniechęceniu do nauki w ogólności, co zwykłym jest objawem tam, gdzie uczeń zatracą poczucie łączności między zdobywaną przez siebie wiedzą teoretyczną a życiem praktycznym i wiedzą praktyczną.

Pod tym względem kursa pedagogiczne czynią zadość najwyższym wymaganiom, co zwłaszcza przebiega się w inowacjach wprowa-

dzonych do programu szkolnego ułożonego na rok 1910/11.

W dziale realnym dodano: ćwiczenia z mineralogii pod kierunkiem Zygmunta Weyberga, ćwiczenia z systematyki roślin pod kierunkiem Feliksa Werwińskiego, ćwiczenia z fizjologii roślin pod kierunkiem Adama Czartkowskiego, ćwiczenia z matematyki prowadzone przez Wł. Wojtowicza, botaniczne pod kierunkiem Zygmunta Wóycickiego, pracownię zoologiczną pod kierunkiem Jana Sosnowskiego i d-ra Jana Tura i ćwiczenia z fizyki prowadzone przez prof. Stan. Kalinowskiego — ponadto w dziale humanistycznym są zapowiedziane: seminaryum historyczne pod kierunkiem Mikołaja Dąbrowskiego, seminaryum historyczno-pedagogiczne pod kierunkiem d-ra Adolfa Reybekla i wykłady historii sztuki prof. Eligjusza Niewiadomskiego.

Do grona profesorów oprócz wymienionych wyżej należą siły profesorskie tej miary co prof. Ignacy Matuszewski, Maryan Massonius, Władysław Bukowiński, d-r Bolesław Miklaszewski, Konrad Drzewiecki, Bronisław Chlebowski, nadto J. K. Kochanowski, Aniela Szycówna, M. Radziwiłłowiczowa i K. Appel.

Jezeli pod względem naukowym kursa pedagogiczne dla kobiet wypełniają nawet znaczne wymagania, to pod względem praktycznym mogą pochwalić się rezultatami wprost świetnymi.

W roku zeszłym po trzechletnich studiach opuściło zakład 29 słuchaczek, z tych 10 ukończyło dział języka polskiego, 19 dział nauk przyrodniczych. Co stało się z tym pierwszym zastępem słuchaczek? Czy wróciły do domów, poprzestając na zdobytej wiedzy? Przeważnie nie. Kursa pedagogiczne interesują się swemi słuchaczkami nawet po ukończeniu przez nich studyów i prowadzą pod tym względem pilną statystykę. Okazuje się że z 29 słuchaczek uczy na pensjach w Warszawie 7, na prowincyi 5, dwie wyjechały na uniwersytety zagraniczne, 7 daje lekcje prywatne, w pracowniach kursów pracuje samodzielnie 3, o pozostałych pięciu niema ścisłych danych — prawdopodobnie wyszły za mąż...

Rezultat piękny. Gdyby każda szkoła w podobny sposób pojmowała swoje obowiązki, nie mielibyśmy w naszym społeczeństwie tyle jednostek wykołajonych.

Życzyć wypada kursom pedagogicznym, aby rozwijały się dalej ku chlobie szkolnictwa polskiego. Społeczeństwo zaś polskie ze swej strony powinno z całym zaufaniem zwrócić się do zakładu, który daje rękojmię prawdziwej nauki i który świadomy jest potrzeb i żądań społecznych.

D-r fil. Tadeusz Konczyński.



Zygmunt Gloger.



W poniedziałek, d. 15-go b. m., o godzinie 9-ej rano, zakończył życie w Warszawie wielce zasłużony badacz przeszłości krajowej, ludoznawstwa i krajoznawstwa, Zygmunt Gloger.

Smutna to i żałobna wieść dla naszego społeczeństwa.

Utraciliśmy bowiem nie tylko wybitnego uczonego i społecznego działacza, nie tylko zasłużonego etnografa i archeologa, który cieszył się dobrze zasłużoną sławą na całym obszarze Polski, a którego dzieła stanowiły prawdziwą skarbnicę dla wszystkich pracowników z zakresu ludo- i krajoznawstwa, tudzież zajmujących się tą dziedziną — ale postradaliśmy przytem człowieka niepospolitej zacności, słodczy, pogody i dobroci, który chyba nigdy w życiu nie miał nieprzyjaciół, bo niczem na to nie mógł zasłużyć.

Jeszcze przed kilku tygodniami, w następstwie cukrowej choroby, która oddawna nurtowała w jego organizmie i zwolna do grobu go spychała. Gloger zapadł na zgorzel; poczęła się od nieznacznej ranki w ręce. Odjęto mu ją, i po operacji nastąpiło w zdrowiu chorego znaczne polepszenie, pozwalające jaknajlepiej na przyszłość rokować. Spodziewano się nawet, że wkrótce chory będzie mógł dla rekonwalescencji wyjechać na wieś do swego rodzinnego majątku w Łomżyńskim. Ale już po paru dniach pozornego powrotu do zdrowia, wzmogła się gorączka i położyła kres żywotowi człowieka, przed którym winniśmy w pośmiertnym hołdzie pochylić głowy.

Jeszcze jeden cień zacnego i zasłużonego syna Ojczyzny powiększył narodowy nasz Panteon.

Nie wszyscy zapewne zdają sobie sprawę z tego, jak trudnego zadania podjął się Gloger i jak świetnie wywiązał się z niego. Wyjątkowa wręcz w naszych warunkach zasługa tego człowieka polega na dokonaniu dzieła niesłychanej inwencji, pracy i wytrwałości. Cały jego żywot był jeno dalszym ciągiem zmuśnionego, mrówczego trudu, rozpoczętego u nas przez niepożytej pamięci Gołębiowskiego, a prowadzonego dalej przez Zoryana, Dołęgę Chodakowskiego, (Czarnockiego Adama) i Oskara Kolberga.

Ze względu na wyjątkowe położenie nasze, które przyniewala nas do upórcozwej obrony języka i ojczystych obyczajów, na każdym kroku napastowanych, podobni Glogerowi badacze i zbieracze mają prawo do tem większej zasługi. To też jego wartość nie była za życia dostatecznie oceniana i nie wiele osób zdawało sobie dokładnie sprawę z wielkiej wagi studyów i badań, którym Gloger poświęcił pół wieku pracowitego żywota. Natomiast w kołach, oddających się badaniu dziedzin, umiłowanych przez Glogera, nauczono się w ostatnich czasach cenić ową niepowiedzialną jego pracowitość, owo gorące umiłowanie rzeczy swoich, których zachowaniu

i upamiętnieniu cały swój żywot z niegasnącym do końca szlachetnym zapalem poświęcił. Nadmienię przytem należy, że w badaniach, którym się oddawał wyróżniały go nie zwykła pomysłowość i wielka sumienność.

Był to żniwiarz, umiający dobrze odróżnić czyste ziarno od kłólu. Jako spokojny, tchnący serdecznem ciepłem obserwator i pełen troskliwości zbieracz, usiłował on zachować, uplastycznić i oddać wszystko to, co naród nasz w wędrówce swej, wieki całe trwającej, zgromadził — i postanowił przekazać przyszłości, kryjące się niewątpliwie w ludowych pieśniach, obyczajach i pracach, nieocenione skarby przeszłości naszej i kultury.

Z całego ogromu zasługi Glogera zdajemy sobie sprawę dopiero wówczas, gdy wczytujemy się w jego książki, odtwarzające starodawne obyczaje i zwyczaje, rozum w przysłowia ujęty, ideały w pieśni uniesmiertelnione, a wszystko to odziane w zającą i prostą formę.

Słusznie też powiada Włodek: „W specjalnej działalności Glogera można porównać z J. I. Kraszewskim. Jak ten ostatni spopularyzował w społeczeństwie polskiem książkę polską, tak Gloger spopularyzował najdawniejsze zabytki przeszłości i zwrócił na potrzebę ich zachowania uwagę. I to pozostanie zawsze niepospolitą jego zasługą“.

W przewidywaniu blizkiego końca, Gloger sporządził przed rejentem Hulanickim testament publiczny, który tu zapisujemy jako wymowną pamiątkę życzeń zmarłego i najpiękniejsze obywatelskiego ducha świadectwo:

„A to, com ukochał i co przez czterdzieści z górą lat, z brzoza w brzoza po dawnej Polsce pamiątki przeszłości narodowej zbierając, zgromadziłem, pragnę narodowi oddać. Ukochaną myślą moją było utworzenie Muzeum dawnej Lechji, obejmującego całą narodową przeszłość naszą. Zgon mój idei mej w czyn przyoblec mi nie daje. Więc ofiaruję: wszystko to, co z ziemi Krakowskiej i Krakowa zebrałem, oddaję Muzeum narodowemu w Krakowie, aby się to kiedyś na Wawelu znalazło. Część zbiorów moich, dawną Lechję obejmujących, cały dział etnograficzny, przeznaczam dla wystawy etnograficznej w Warszawie przy Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zbiory moje przyrodnicze i krajoznawcze zapisuję ukochanemu Towarzystwu Krajoznawczemu. Całą bibliotekę moją, kilkanaście tysięcy tomów obejmującą, zapisuję Towarzystwu Biblioteki Publicznej w Warszawie. Wszystkie zbiory moje starożytności: tloki i pieczęcie królewskie, dygnitarzkie i biskupie; pergaminy dyplomatów i autografy znakomitych mężów Polski, ofiaruję Muzeum Narodowemu w Krakowie; portret Mickiewicza, pendzla Lenartowiczowej, ofiaruję Muzeum Mickiewicza w Paryżu, a portret Kraszewskiego, pendzla Kaniewskiego — Muzeum Kraszewskiego w Krakowie“.

Po wypowiedaniu się i przyjęciu św. Sakramentów z rąk prałata Fijałkowskiego, zwrócił się do niego ze słowami:

„Pozwól polski kapłanie, że ucałuję dłoń Twoją, boś jest Boga przedstawicielem. Całe życie moje starałem się być dobrym Pola

kiem, całe moje życie było ciężką pracą. Odczuję spokojnie“.

Zmarły należał do pokolenia, którego młodzieńczy wiek przypadł na gorącą atmosferę powstania 1863 r. i które przeszło przez Warszawską Szkołę Główną. Przyszedł na świat w dniu 3 listopada, we wsi Kamionki, w Augustowskim, jako syn Jana Glogera, obywatela ziemskiego, wsi tej właściciela i Michalina z Wojnów. Nauki gimnazjalne, początkowo w szkole Leszczyńskiego, pobierał w Warszawie od r. 1858 do 1868, studia uniwersyteckie odbył w Szkole Główniej, a uzupełnił je na Wszechnicy Jagiellońskiej.

Gorące umiłowanie ludoznawstwa wcześniej rozwinięło się w młodym chłopcu, już bowiem jako szesnastoletni młodzieniec, spisywał pieśni, przysłowia, bajki i gadki ludowe z okolic Tykocina, zbierając przytem zapamiętałe przedhistoryczne wykopaliska, ludowe stroje, dawne wyroby rzemieślnicze, broń narodową i pamiątki ojczyste, przedewszystkiem zaś książki. To też pod koniec żywota, w odziedziczonej po rodzicach wsi Jeżewie, pod Tykocinem, w łomżyńskim, zgromadził olbrzymie Muzeum, składające się z cennych etnograficznych, archeologicznych i historycznych zbiorów, tudzież wielki i doborowy księgozbiór.

A wiemy już, jak goźnie skarbami temi rozporządził.

Upodobania swoje pogłębił Gloger specjalnymi studjami z zakresu etnografii, archeologii i historii, podczas pobytu w uniwersytecie Jagiellońskim i już, poczynając od roku 1867 jał ogłaszać drukiem owoce praco-

witych poszukiwań swych i rozległej wiedzy. Jeszcze zasiadając na ławie uniwersyteckiej, wydał pod pseudonimem Pruskiego, pieczętował się bowiem herbem Prus, pierwszą, większą swą pracę: „Obchody weselne“. Ówczesny rektor Wszechnicy Jagiellońskiej, Julian Dunajewski, poznawszy ją w rękopisie, wyróżnił i polecił wytłoczyć w drukarni uniwersyteckiej.

I odtąd przez lat czterdzieści pracował w umłowanej przez siebie dziedzinie, nie szukając ani rozgłosu, ani odznaczeń, ani pochwał.

Bibliografia prac Glogera obejmuje dzieła następujące:

Obchody rolnicze. — Kupalnocka — stary zwyczaj palenia Sobótek w okolicach Tykocina. — Anula. — Święte wieczory. — Obchody weselne. — Żywot Juliana Bartoszewicza. — Kilka słów o naszych stacyach krzemiennych. — Dziennik podróży po Niemnie. — Ułamek starożytnego kazania o małżeństwie. — Dawna ziemia Bielska i jej częstkowa szlachta. — Osady nad Niemnem i na Podlasiu z czasu użytku krzemienia. — Starożytne osady z czasów użytku krzemienia na ziemiach dawnej Polski. — Dziennik podróży po Bugu. — Osady z czasów użytku krzemienia pod Kobylinem, Zambrzycami, Zalesiem, Sieniawą, Szczakową i Borkiem Falęckim. — Dawna ziemia łomżyńska. — Starodawne dumy i pieśni. — Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski. — Obrazy z zamierzonych dziejów. — O pieśniach ludowych i narodowych. — Osady przedhistoryczne na porzeczu Biebrzy. — Wołyń i wykopaliska moszczanickie. — Zagadki

ludowe z nad Narwi i Bugu. — Marzenia samotnika. — Zwyczaje doroczne. — Wyciągi z „Dziejów Polskich Długosza“, dotyczące fizjografii dawnej Polski. — Długosz i pieśni polskie. — Pamiętnik Antoniego Potockiego. — Notatki do gospodarstwa społecznego i rolnictwa ze źródeł średniowiecznych. — Pieśni ludu, zebrał Z. Gloger w latach 1861—1891. — Ze starych szpargałów ś. p. Karola Żery. — Fraszki i opowiadania wypisał Z. G. — Słownik gwary ludowej w okręgu Tykocińskim. — Skarbiec strzechy naszej. — O zubrze litewskim i turze mazowieckim. — Przysłowia ludu z okolic Tykocina. — Księga rzeczy polskich, p. t. Słownik rzeczy starożytnych. Trzecie wydanie nakładem Towarzystwa wydawniczego lwowskiego, również w Krakowie u Anczyca. — Geografia historyczna ziem dawnej Polski, z 64 rycinami i mapą. — Rok polski w życiu, tradycji i pieśni, z 40 rycinami. — Białowieża w albumie. — Dolinami rzek (6 podróży po Niemnie, Wiśle, Bugu i Biebrzy z kilkudziesięciu widokami). — Encyklopedia staropolska ilustrowana, tomów 4. — Z dwóch światów słowiańskich. — W dziele zbiorowym: „Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek“, — życiorysy całego szeregu ludzi wybitnych w historii i piśmiennictwie polskim.

Dokładny spis bibliograficzny prac Glogera zamieścił Erazm Majewski w 1-ym tomie „Światowida“ w roku 1899-m.

Przedwczesna, niestety, śmierć Glogera przerwała na jednym wykończonym już tomie i trzech zeszytach do tomu następnego, podjętą na wielką skalę, oryginalnie pomy-

MACIEJ WIERZBIŃSKI.

Święty Fen.

Powieść z życia ikarystów.



(Dalszy ciąg).

Mr. Darlington miał pewne skrupuły; wzbraniał się przed zajmowaniem legowiska komuniście, lecz zakrzyczano go.

— Siadajmy! Siadajmy! — wołała pani Crosston z wielką nieodstępną pogodą zdrowego zwierzęcia ludzkiego i rzuciła do Fena: — Zachowałam dla ciebie z obiadu trochę imbirowego puddingu, który tak lubisz!

Za całą podziękę Fen przesłał jej spojrzenie pełne słodyczy i zabrał się z apetytem do talerza ryżu z mlekiem. Nie wtrącał się do rozmowy, którą wszechgłębili gadatliwy duńczyk i Pinkerton z gościem.

Teorie i poglądy, które wygłaszali, były tak sprzeczne z wszystkim co kiedykolwiek słyszał i czytał Frank, że zrazu nie schodził ze stanowiska żurnalisty na wywiadzie, zaczęł zbijać ich rozumowanie argumentami, zaczerpniętymi z krynicy zdrowego, anglosaskiego rozsądku.

Pod sam koniec wieczery wpadł jak bomba do izby dwunastoletni wyrostek również bosy, bez kapelusza, zziąjany jak chart i zawołał z progu:

— Mamo, jestem taki głodny!

— Czyś nie jadł? Myślałam, że jesteś u pani Anny.

— Nie, byłem z chłopcami. Ten głupiec Dick dowodził mi, że każdy musi chodzić do kościoła, bo w przeciwnym razie pójdzie do piekła. A ja mu powiadam: „nie pójdzie do piekła, bo piekła nie ma, ale clergyman nie zaprosi go na obiad, nie wybiorą go do zarządu kościelnego ani szkolnego, nie dadzą mu zarobić pieniędzy, nie będzie mógł wypasać sobie brzucha. To będzie dla niego piekło. Jak człowiek — powiadam mu — chce mieć niebo, musi być takim, jakim go chcą mieć sąsiedzi“. Dick wściekał się o to, bo on nie rozumie — głupie oślisko. „Dick — mówię mu — tybys mnie sam posłał do piekła za to, że ci się sprzeciwiam. A widzisz? Ale mnie do piekła nie pošlesz, bo dla mnie pieniądze niczem“.

— Nie gadaj tak dużo — przerwała mu matka. — Jedz co jeszcze zostało!

Ale nie wiele dla niego zostało. Fen wykrobał z wazy resztkę ryżu i podał chłopcu, pocieszając go:

— Dostaniesz puddingu.

Ale chłopak, snadź wyższy ponad przyjemności gastronomiczne, zmiatał co miał

przed sobą, a między jednym a drugim łykiem mełł jeszcze językiem:

— Ach, ten Dick wierzy we wszystko co mu powiedzą! Co on wygadywał o Chrystusie?!...

— Cały wieczór z nim przegadałeś? — spytała matka, nie ciekawa wynurzeń swego Arturka.

— Nie. Puszczaaliśmy najpierw latawcę, ale to mnie nie bardzo bawi. Powiedz Fen, ile mil może być od nas do sklepienia?

— Nie wiem. Zapewne kilka bilionów mil.

— Goniliśmy się trochę, potem usiedli nad strumykiem. Widziałem zdaleka przechodzącego Fena z Natalką.

— Czy ona zdrowa? — zagadnęła Fena pani Crosston.

— Zdrowa.

— A czemu nie była u nas od dwóch dni?

— Zajęta. Wracając od Buxtona, szukaliśmy malin nad strumykiem, ale jeszcze prawie wcale nie ma. Notabene p. Buxton prosił, abyśmy wszyscy odwiedzili go pojutrze z wieczora i zostali z nim na wieczery. Cierpiący i osamotniony.

(DCN.)



ślana pracę nad „Budownictwem drzewnem i wyrobami z drzewa w dawnej Polsce“. Podobny los spotkał „Słownik gwary polskiej“, tudzież „Słownik imion własnych oraz nazwisk gór, rzek i dolin w dawnej Polsce“, który miał być w zarysie przedstawiony przez autora na jednym z najbliższych posiedzeń Towarzystwa naukowego warszawskiego i do którego przygotował już materiał źródłowy na osiemdziesięciu tysiącach kartek.

Oprócz dzieł, oddzielnie wydanych, a powyżej wymienionych, Gloger ogłosił mnóstwo cennych rozpraw i przyczynków, w rocznikach Akademii krakowskiej, w „Bibliotece Warszawskiej“, „Kłosach“, „Wiśle“, oraz w mnogich innych wydawnictwach zbiorowych i czasopismach.

Z prac jego, pomieszczonych w „Kuryerze Warszawskim“ przedewszystkiem wymienić należy urywki „Z notat“, drukowane w roku 1878 oraz wspomnienie o Oskarze Kolbergu, drukowane w roku 1890. Wreszcie dawna „Gazeta Warszawska“ pomieszczała często jego korespondencje z Tykocińskiego, w których, jako zacny i gorliwy obywatel kraju, zabierał często głos w sprawach społecznych. Małe broszurki swe i mnóstwo artykułów, po różnych pismach rozrzuconych, podpisywał literami Z. G.

Samo wyliczanie tytułów prac Glogera daje najlepsze świadectwo niestrudzonej jego zabiegliwości — mówi Aleksander Kraushar — w ujęciu obrazu żywota obyczajowego, artystycznego, gospodarczego i dziejowego przodków, jego gruntownej wiedzy, nie tylko książkowej, lecz opartej na bezpośredniej obserwacji wszystkich objawów życia narodowego i kulturalnego społeczeństwa rodzimego, poczynając od warstw jego podstawowych, od ludu wiejskiego, aż do najwyższych szczebli, powołanych do pielęgnowania języka, zwyczajów, obyczajów i historii organizmu narodowego. Przewodnią ideą tej mrówczej pracy, prowadzonej przez pół wieku blisko, w warunkach niepomyślnych dla rozwoju nauki swojskiej, nie była ambicja literacka, dążność do wypełnienia życia zajęciami, dającymi rozgłos i uznanie; lecz była to misja zaszczytna uświadamienia narodu w dostojęństwie jego cywilizacyjnego i kulturalnego dorobku i nawoływania go do pielęgnowania skarbów, które mu przekazała tradycja, a które pokoleniom następnym, jako drogowskaz i cel wszystkich usiłowań umysłów szlachetnych, miłujących gniazdo rodzime, służyć winny.

Przeszedł s. p. Zygmunt Gloger życie pracy, życie myśli najszczytniejszych, dążeń, jako cichy, skromny, oddany sercem całemu umiłowanej idei pracownik i wstąpił w progi wieczności z przeświadczeniem, iż czynił dobrze rodakom i nauce, że niedokończone, zrzadzeniem losów jego dzieło, da następcom wzór i przykład do naśladowania.

Snuło się to piękne życie, skromnego, nie szukającego ani rozgłosu, ani odznaczeń badacza, pasmo prac, poświęconych umiłowanej idei odtworzenia w piśmie i rysunku wszystkich skarbów ziemi polskiej, tej ziemi, której się oddał myślą, duszą i uczuciem wierne go sługi i obywatela, uczuciem dziecka dla najukochańszej swej Mac'erzy.

Słusznie też powiada Kraushar, że „zadaniem przyszłych historyków literatury i kultury polskiej będzie uwydatnienie w staranem opracowaniu wyników kilkudziesięcioletniej pracy uczonego, który choćby w jednym tylko z dzieł swoich, w niepospolitej doniosłości „Encyklopedyi Staropolskiej Ilustrowanej“ zdobył się sam na dźwignięcie gmachu, nad którego utworzeniem bezskutecznie przed nim pracować zamierzały zbiorowo korporacje naukowe i pracowali najwybitniejsi na polu nauki działacze.

Wystarczy przypomnieć, że dzieło to, podjęte własną pracą, staraniem i sumptem Glogera, stanowiło w zaczątkach ubiegłego wieku przedmiot gorących, a nieureczywistnionych zabiegów Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk. Już w roku 1805 generał Wincenty hr. Krasinski, marzył o wydawnictwie „Dykcjonaryusza rzeczy polskich“ i kilkakrotnie w tej materii przedstawiał uczonemu gronu projekty. Na szerszą skalę obmyślony był projekt takiego dykcjonaryusza, podjęty przez Jana Amora hr. Tarnowskiego i Kazimierza Brodzińskiego. Miała to być nie alfabetycznie, lecz systematycznie ułożona „Encyklopedia rzeczy krajowych“, z uwzględnieniem przeważnie doniosłości ich historycznej. O niezbędnej potrzebie takiej encyklopedyi pisał za czasów redaktorstwa „Gazety Polskiej“ Józef Ignacy Kraszewski. Z częściowo wprowadzonych w czyn pomysłów do takiego wydawnictwa mieliśmy „Małą encyklopedyę polską“ Stanisława Platę, wydaną w Lesznie i Gnieźnie w roku 1841, i obszerniejsze „Starożytności Polskie“ Jędrzeja Moraczewskiego, wydane w dwu tomach w Poznaniu, nie wspominając już o najobszerniejszych, pod względem materiału, rzeczy polskich dotyczących, „Encyklopedyi powszechnej“: Orgelbranda i nieukończonych jeszcze „Wielkiej encyklopedyi ilustrowanej“.

Wszystkie pomienione prace encyklopedyczne powstały, lub prowadzą się jeszcze siłami zbiorowemi, a choć pożytek jaki przyniosły umysłowości polskiej jest niewątpliwy, nie są wszakże szerszemu ogółowi w pożądaną dostępnymi mierze. S. p. Gloger wziął na własne barki zadanie przerastające siły najwytrwalszej nawet jednostki, podjął się go z wiarą w owocność takiej pracy dla rodaków i wykonał je, jedynie dzięki tym zasobom archiwalnym, jakie przez lat szereg gromadził w zaciszu swym wiejskim, a przede wszystkim dzięki energii, zabiegliwości, niezmiernemu odczytaniu i znajomości źródeł, niezbędnych dla poznania dziejów kultury własnego narodu.

Nie mniejszym dowodem gruntownej wiedzy i umiłowania rzeczy swojskich, były prace Glogera p. t. „Księga rzeczy polskich“, która w krótkim przeciągu czasu dwie miała edycje, oraz „Geografia historyczna ziem dawnej Polski“.

Gloger pierwszy wprowadził do piśmiennictwa ludowego wybór etyczny z tak zwanej literatury żywego słowa ludu, przekazując do utrwalenia to, co lud zaczął zapominać i paczyć, a co zachować i rozwijać powinien.

Z dziedziny tej opracował i wydał: „Sta-

rodawne dумы i pieśni“, „Krakowiaki“, „Kujawiaki, mazurki, wyrwasy i dumki pomniejszych“, „Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowieści“, „Baśnie i powieści“, „Gody weselne“, „Zwyczajne derocznе“, „Kujawiaki i dumki“, „Mazurki i wyrwasy“, „Popas w Sławopolu“ i „Skarbiec strzechy naszej“.

Wszystkie wogóle jego prace można podzielić na artykuły: etnograficzne, ekonomiczno-społeczne, życiorysy, opisy podróży po rzekach swojskich, książki dla Oświaty Ludowej, zbiory rzeczy etnograficznych i dzieła popularno naukowe.

W zbiorach etnograficznych pierwsze miejsce zajmują pieśni ludu, w liczbie przeszło tysiąca, zebrane w latach 1861—1891 i wydane z towarzyszeniem fortepianu przez Zygmunta Noskowskiego.

Gloger, studyjając przeszłość, zwiedził kilkakrotnie, przeważnie pieszo i zbadał niemal wszystkie okolice kraju, odkrywając w czasie tych podróży około tysiąca miejscowości ze śladami pobytu mieszkańców, podczas przedhistorycznego użytku krzemienia.

Spędził życie lub w majątku swoim Jezewie, w którym gospodarował z ogromnem zamiłowaniem, lub w Warszawie, gdzie bywał zatrudniany zarówno literaturą i nauką, jak i pracami w Komitecie T. K. Z., dokąd powołany zaufaniem współobywateli, przez długie lata pełnił obowiązki radcy, dopóki, przed czterema dopiero laty nie zrzekł się tej godności, a to w celu wyłącznego poświęcenia się wydawnictwu materiałów naukowych, zbieranych przez całe życie. Ale, mając na względzie dobro społeczne, nie uchylał się od pracy, to też powołano go na prezesa Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, oceniając słusznie zasługi jakie położył w ciągu wielu dziesiątków lat pracy dla krajoznawstwa polskiego.

Będąc jednym z najznakomitszych archeologów polskich, piastował godność wiceprezesa „Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości“, a w ostatnich czasach był tymczasowym prezesem owej instytucji, która niejedno zawdzięcza cennym jego wskazówkom. Gloger przyczynił się też wiele do założenia w Warszawie Muzeum etnograficznego i wogóle zawsze się chętnie przykładął radą i pomocą do każdej sprawy, mającej dobro kraju i ziomków na celu.

Długie, długie lata czekać będzie Polska na takiego syna, któryby najcenniejsze klejnoty z dawnego królewskiego jej skarbcza, tak gorliwie umiał wyszukiwać i, wypadłe ze złotych opraw, do dawnej świetności starannie pieczołowitą ręką przywracać.

Po nabożeństwie, odprowadzonym za duszę s. p. Glogera w d. 18 b. m. o godzinie 11-ej przed południem, w górnym kościele św. Aleksandra, tegoż dnia o godzinie 4-ej po południu, Warszawa odprowadziła jego zwłoki na cmentarz Powązkowski, składając tem skromny hołd pamięci zmarłego.

Imieniem Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, pożegnał go przed złożeniem do grobu Aleksander Kraushar. Obrzęd żałobny zakończyło przemówienie Aleksandra Janowskiego, wiceprezesa Towarzystwa Krajoznawczego. Niech to nasze wspomnienie pozgon-

ne zamknie zakończenie mowy Kraushara: „Żegnamy cię, zacy duchu badacza, patryoty, człowieka dobrego i uczynnego, z żalem i czcią najgłębszą dla tego wszystkiego co zdziałał dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości umiłowanego tak gorąco narodu, żegnamy z nadzieją, że plony prac twoich nie przeminą, że pokolenia całe uczyć się będą na książkach twoich obowiązku szanowania rzeczy swojskich, a przede wszystkim miłości tej ziemi, którą tak bezgranicznie cenił i miłował, jako dobry syn, wzorowy i pełen ofiarności dla ogółu pracowników i obywateli. Pamięć twoja nie zginie w sercach żyjących, nie zatrze się nigdy na najpiękniejszych kartach piśmiennictwa krajowego. Gdzie będzie mowa o najlepszych i najzasłużonych, tam w pierwszych szeregach lśnić będzie nazwisko ś. p. Zygmunta Glogera. Pokój twej zamej, uznozonej trudem życia całego pamięci!”

Władysław Nawrocki.



Zagadnienia epoki niemowlęstwa.

Przekład z angielskiego

EMILII WĘSŁAWSKIEJ.



CZĘŚĆ II.

Rozwój duchowy.

(Ciąg dalszy).

Niezbędnym warunkiem przy rozwoju poczuć moralnych dziecka, w najważniejszych fazach, jest stałość, nie znająca żałosnych ustępstw, żadnych słabości.

Na taką stałość, trzeba zużyć całą inteligencję, do której człowiek jest zdolny, aby się nie przerodziła w tyranję szczegółików, które przerażają duszę dziecka i zniszczą kwiat jej samorządności. Innymi słowy, matka od roku staje oko w oko z jednym z największych zagadnień życiowych — wyborze rzeczy godnych z całej masy rzeczy niegodnych, a wybór ten wymaga filozofii i zgłębienia teorii życia.

Matka najmniej z całego otoczenia, ma prawo trzymać się filozofii oportunizmu, gdyż jej nauki nie giną wraz z zapisaną kartą, ale żyją w dziecku; a tymczasem, u wielu matek, można powiedzieć u większości, widzimy bezmyślność, kierowanie się impulsem, humorem, lub potrzebą chwili, z głęboką wiarą w przekonanie, że Bóg dając dziecko, udziela matce wiadomości jak ma nim kierować. Wiara w Boskie prawa Królów, wytwarza jednego tyra i przeciw temu gwałtowny podnosimy protest; wiara w Boskie prawa Matek, wytwarza wielu tyranów, a my przyjmujemy to w mileczeniu.

Dając życie dziecku, matka przechodzi przez ciężkie i długie próby. Nabiera ona zdolności do kierowania dzieckiem, ale tych zdolności, nie otrzymuje ona jako dar niebios. Dana jej jest co prawda gotowość instynktowna, do poświęcania się dla małej istotki, ale do niej musi być dodana moc panowania nad sobą, bo czyż potrafi rozumnie kierować ten, kto sam sobą kierować nie umie?

Jeżeli matka ulega dla miłego spokoju, pozwala sobie na wybuchy gniewu, lub przesadnej czułości, jeżeli karze i pieści zależnie od własnego zmiennego humoru, to nie może wychować silnego, spokojnego dziecka. Małeństwo, doskonale odczuwa atmosferę otaczającą, widzi zachmurzone lub uśmiechnięte oblicze, chociaż jeszcze samo śmiać się nie umie.

Później, ze zdolnością rozumowania przyjdzie rozważa i kombinacja i matka zbierać będzie w nieustannych zgryzotach, owoce ziarna przez niedbałość zasianych, samo-kontrola matki, ma swe podstawy w spokojnej, krytycznej znajomości samej siebie i dziecka.

Wskutek mimowolnego odczuwania, posłuszeństwa i zdolności naśladowczych, umysłowy jej nastrój, jej kultura asymilowaną będzie przez dziecko; jej ideały, jej czyny, dobre czy złe — staną się jego czynami, i ciało jego, będzie wyrobione lub zaniedbane, wzmocnione lub osłabione, zależnie od jej dobrej woli.

Matka o każdej godzinie dnia, ma u swego boku istotkę, której baczne oczy, notują każdy czyn, której żywy umysł instynktownie usiłuje naśladować i podchwycić. Nietylko jej uśmiech sprowadza na wrażliwą twarzyczkę jakby odbłask słońca, a mars rzuca cień, ale uśmiech i mars zapadają głęboko w dziecinne serduszek i umysł i z wielką siłą wracają we wspomnieniu dziecinne.

Jeżeli matka jest nerwowo podniecona, używa nieustannych wykrzykników, unosi się o byle co, śpieszy się, rzuca, nie zaznajac chwili spokoju, to jej zachowanie się będzie odzwierciedlone w dziecku, które przy innych warunkach, mogłoby posiadać słodką, spokojną naturę. Jeżeli zbyt nerwową naturę, ciężko jest dziecku naśladować, to, nie czując tego, ucieknie się ono do stanu flagmatycznego, a wówczas, matka bardzo prawdopodobnie, ubolewać będzie nad głupotą i bezwrażliwością dziecka, niezrozumiałą dla niej, dla tej prostej przyczyny, że sama siebie nie rozumie.

Nerwowe usposobienie matki wychodzi na jaw i często zwiększa się w obecności dziecka. Niezliczoną liczbą matek widziałem, takich, którym się zdaje, że obowiązki ich polegają na tem, by dziecko ani na chwilę nie pozostawało same. Więc nieustannie rozmawiają z dzieckiem, podsuwając nowe zabawki, pieszczą, skaczą koło niego, a patrząc na ich wyczerpaną nerwową twarz, nie miałem żadnych trudności, w zrozumieniu wielkiego niezadowolenia, kapryśnego układu usteczek

i niespokojnych oczu dziecka. Zmęczone do ostateczności, dziecko wprost cierpieć musiało.

Jeżeli zaś matka rozpoczyna dzień uśmiechem, nie dlatego, by nie znała czekających ją prób, ale ufna, że będzie miała siłę znieść je, jeżeli z całą samowiedzą wystrzeżać się będzie objawów złego humoru, a okazując będzie współczucie dla radości i smutków otoczenia, jeżeli każdy czyn zabarwi serdecznością, sprawiedliwością i spokojem, jednym słowem, jeżeli potrafi otoczyć dziecko atmosferą spokoju, przemawiać do niego będzie słodkim, niskim głosem, da mu odczuć, że zostawia mu niezależność, ale spodziewa się że od niej oczekiwać będzie kierunku, wówczas ta mała istotka również z uśmiechem budzić się będzie, a gdy i na nią przyjdą chwile smutków i zawodów, nauczy się znosić je cierpliwie, ufając, że w uśmiechu matki znajdzie współczucie i otuchę.

Przejęci egotyzmem, pozostajemy indywidualnym centrem naszego świata i najzupełniej nie liczymy się ze światem dziecka. Zajmujemy wyniosłe stanowisko sędziów naszych dzieci i skwapliwie nazywamy dziedzinnością, wszystkie błędy i przestępstwa, gdy tymczasem są one skutkiem naszych codziennych czynów i zachowania się, roztkliwiania się niemądrego w jednej chwili, a niesprawiedliwego unoszenia się w drugiej, a wszystko to, siłą naśladowczą egzystuje w duszy dziecka. Matka nie znająca samej siebie, nie starająca się zbadać swej natury w świetle codziennych czynów, nie kontrolująca ich, nie badająca własnego charakteru i charakteru dziecka, głębiej, niż wszystkich nauk i filozofii, wykracza przeciw swym obowiązkom stokroć gorzej, niż żołnierz, na śmierć skazany, za to że zasnął stojąc na posterunku.

Ale gdy samo-kontrola matki, oparta jest na tej świadomości, potrzebną jej jest jeszcze rozum, rozważający, wciąż rozwijającą się znajomość życia dziecka i życia wogóle. To, jak już pierwszej wspomniałem, jest podstawą tej trwałości i stałości, będącej niezbędnym warunkiem wszelkiego wyrobienia.

Dziecię przybywa na świat niezmiernie złożony, z bardzo ograniczonym zasobem środków.

Na każdym kroku styka się z niezliczonymi: wolno, niewolno, z których jedno są żywotne, drugie powierzchowne i konwencyonalne. Trudne zadanie wyboru jednych, odrzucenie drugich, spada na matkę; a ona przeciążona pracą, bardzo często wspiera się na popędzie chwili i praca nad wyrobieniem dziecka, nie idzie w prostym kierunku, ale zakresła rozmaite zygzyki.

Źródłem tych niepożądanych wypadków jest fakt, że szukamy wskazówek i kierunku w sprawach danej chwili, a nie w ideale, jaki sobie wytworzyliśmy o naturze i zachowaniu się dziecka.

Wszyscy zgadzamy się na jeden upragniony typ dziecka. Ma ono być zdrowe, łagodne, wesołe, czyste w umyśle i sercu. Nikt przecie nie pragnie dziecka samolubnego, nerwowego, gniewliwego, nieposłusznego. Dla czegoż więc, tak się różnią nasze metody kierowania dzieckiem i dlaczego, tak często otrzymujemy to, czegośmy wcale nie pragnęli?

Z pewnością nie z przyczyn dziedziczności, po tysiąc razy nie, ale z powodu naszego lenistwa, niekonsekwentnego odnoszenia się do dziecka, dlatego, że wymagamy od dziecka posłuszeństwa więcej dla naszych osobistych kaprysów, niż logiki otoczenia, że nie umiemy pokierować dzieckiem tak, by te cnoty wypływały z jego natury, jak ze źródeł.

Weźmy prosty przykład, chcesz by twój bebuś wyrósł na dobrego, pozbawionego egoizmu człowieka. Wydaje się to zadaniem strasznie ciężkiem, daleko trudniejszym, niż decydowanie z dnia na dzień, co może lub nie może robić. Ale ta codzienna decyzja, musi istnieć w każdym wypadku, tylko że teraz macie nic, która będzie punktem wyjścia w labiryncie naszego wyboru.

Dziecię musi spełnić codziennie ten czyn altruistyczny, mając bodziec z waszego przykładu i zachęty. Czy np. dacie mu zabawkę, którą posiada inne dziecko, dlatego że domaga się jej, dlatego że przyjemniej jest wam nie słyszeć jego krzyków, czy też dlatego, że ono takie małe jeszcze i głupiutkie? Zasada naszego postępowania posłuży za odpowiedź, chcecie wychować dziecko nie samolubne, więc i sami samolubnymi być nie możecie. Znacie potęgę przyzwyczajenia, wpływającego na jego charakter, brak stanowczości waszej dzisiaj, sprowadzi złe skłonności dziecka jutro. Więc bez wahania, odbieracie mu wydartą drugiemu dziecku zabawkę i nie pozwalacie na krzyki, zakrywając ręką usta jego, a nawet, jeżeli okaże się tego potrzeba karząc go, aby zrozumiało, że powinien być dobrym, dzielnym chłopczykiem.

Ta codzienna, stała praca nad dzieckiem, przyniesie pewniejsze i stałe wyniki, jeżeli matka posiędzie całą wiedzę płynącą ze ścisłego badania siebie i dziecka. Jeżeli nawet matka pojmuje wymagania, jakie jej stawia macierzyństwo i silnie kontroluje uczucia, odczucia i ich objawy, to jeszcze musi pamiętać o najważniejszym swym zadaniu, jako nauczycielki dziecka, umiając chwytając z niezmierną szybkością i zużytkowywać wewnętrzne znaczenie drobniaków, stanowiących jednak codzienne doświadczenie dziecka. Ona musi wciąż posługiwać się jako środkiem edukacyjnym zdolnością naśladowniczą dziecka i skłonnością do przyzwyczajenia. Ona ma skierować drobniażki stópki na drogi nowe, niewypróbowane i ten kierunek, rozpoczyna się od najwcześniejszych dni niemowlęstwa i kończy się dopiero wtedy, gdy dziecko staje się zupełnie samodzielnie kierującą się jednostką.

Wszczepienie tego poczucia odpowiedzialności względem świata osób i rzeczy, jest podstawą tego rzeczywistego wychowania, które tworzy budowę charakteru.

Zasadniczym warunkiem wyrobienia tego jest to, by matka nigdy pod żadnym pozorem nie robiła dla dziecka tego, do czego wciągnąć można dziecko by robiło samo.

Skłonność do stania się niewolnicą dziecka w drobniakach, stanowiących podstawę kształtowania charakteru niemowlęcia, jest niezmiernie trudną do opanowania.

Przecie to daleko łatwiej zrobić samej, niż przyuczyć niewyrobioną pamięć i niezgra-

ne paluszki. Uporządkowanie zabawek na przykład, zabierze matce parę minut czasu, a zmuszenie dziecka do wciągnięcia się w tę robotę, zajmie niemało czasu. Matka więc często zapomina, że sam Bóg przeznaczył ją na nauczycielkę, tak porządku, jak innych zalet, niezbędnych jak dziecku tak i dorosłemu człowiekowi.

Jeżeli matka chce spełnić swe doniosłe obowiązki to zawsze musi być na straży, by nie opuścić ani jednej sposobności do ich wypełnienia. Wymówka, że niema czasu, że daleko łatwiej wykonać robotę samej, musi być uznana za fatalną przeszkodę w rozwoju charakteru dziecka.

Jeżeli matka pamiętać będzie o tem, że ukształtowanie silnego charakteru dziecka, jest racyą bytu jej macierzyństwa, to nie będzie usuwać przez zaślepienie, lub niedbalstwo, sposobności do jego wyrobienia się, ale gdy o tem zapomni i kierować się będzie niedorzecznym pragnieniem, by jej dziecko znało tylko przyjemności chwilowe i nieustannem uleganiem jego zachciankom nie da mu sposobności męznego zniesienia zawodu, lub spotkania się z niezadowolonym pragnieniem, to okrada go ze sposobności nauczania się męstwa i dzielności znoszenia przykrości.

Widziałem rodziców, zupełnie ulegających kaprysom i życzeniom dzieci. A rezultat tego jaki był?

Rodzice, przyznać trzeba, wyrobili w sobie rzadkie charaktery, pełne poświęcenia i z upelnego zaparcia się. Z dzieci swych za to, wytworzyli potwory samolubstwa i niewdzięczności. Obowiązki względem własnych charakterów, najzupełniej wypełnili, ale co uczynili z obowiązkami, odnoszącymi się do charakterów dzieci?

Nie mogę sobie wyobrazić okropniejszego wymiaru sprawiedliwości nad to, że prawie zawsze, takie dziecko doszedłszy wieku dojrzałego, ocenia we właściwym świetle słabość swego charakteru i przeklina rodziców za dostarczanie mu w dzieciństwie samych przyjemności. A już nie ulega wątpliwości, że takie dziecko, w późniejszym wieku, wierem pozostaje wpływom niemowlęstwa i nieustannie, bez najmniejszego wahania, składa rodziców swoich na ołtarzu własnych przyjemności i osobistych korzyści.

(DCN.)



W gaju.



*Po jaśminowym gaju błędę
I szukam źródła zapomnienia,
Przymarły we mnie wszystkie żądze,
Pragnienia wszystkie i marzenia.
... O szukam źródła zapomnienia.*

*Sypią przewonny puch jabłonki,
A w mojej duszy lka tęsknota
I z smutkiem patrzę na te pąki,
Co rozkwitają w morzu złota.
... O w mojej duszy lka tęsknota.*

*Szukam ukoju, szukam ciszy,
Śni mi się baśń dziecięca, złota,
Wokoło wiosna życiem dyszy
I taka jasność i tęsknota.
... Śni mi się baśń dziecięca, złota.*

*Wiem, że prześnione życie moje
I dawnej wiosny już nie będzie,
Więc w jaśminowe idę gaje
I wiosny mojej szukam wszędzie.
... Choć wiem, że nigdy jej nie będzie.*

*Po jaśminowym gaju chodzę,
Za mem dzieciństwem śnionem we śnie,
I niema go na mojej drodze
I wiem, że nigdy mi nie wskrzesnie,
To czego na mej szukam drodze.*

Stanisław Birmy-Dróbecki.



Z listów do „Bluszczu“.



Bruksella.

(Dokończenie).

Kobiety w Belgii pracują chętniej w domu niż w fabrykach. Związana domem kobieta godzi się na gorsze warunki płacy, by tylko pozostać z dziećmi, które nieraz pomagają jej w pracy. Rezultat oplakany. Kobieta pracuje dłużej a płacą jest marnie, podczas gdy robotnica fabryczna zarabia lepiej i pracuje w daleko lepszych warunkach higienicznych.

Zebraniem danych statystycznych do tego działu zajmuje się specjalna komisja przy ministerium spraw wewnętrznych. Zbierający dane, informują się z dwóch stron — stoimy więc wobec niezawodnej prawdy.

Zebrane szczegóły są następujące:

W fabryce	pudełek	za 60 g. tyg.	płacą	19 fr. 50 cent
"	"	cygar	72 "	" " 13 " — "
"	"	rękawiczek	57 "	" " 23 " — "
"	"	koszyków	70 "	" " 19 " — "
"	"	ozdób cuk.	109 "	" " 15 " — "
"	"	czapek	za 96 "	" " 20 " — "
"	prac. białizny	"	78 "	" " 13 " 50 "
"	"	szczotek	54 "	" " 6 " — "

W prac. tkackiej	„	72 g. tyg. płacą	18 fr. — cent.
„ „ dywanów	„	99 „ „	21 do 27 fr.
„ perskich dywanów	72 „ „	12 fr. 36 cent.	
Szycie wykuintn. bielizny	60 „ „	19 „ 80	„

Z całą ciekawością zwracam się znów w stronę koronek i uderza mię bajecznie niska płaca jaką otrzymują kobiety za te małe, znane w całym świecie arcydzieła.

Za 72 godzin tygodniowo — 6 franków. Cieniutkie walansienki 66 g. za 9 fr. 10 cent. Zdarzają się i 66 godzin pracy za 5 fr. (!), grubsza koronka za 72 g. 3 fr. 80 cent., niezwykle piękna walansienka za 60 g. 11 fr. 80 cent.

Jak to pogodzić z wygórowaniami cenami w oknach sklepowych! Z temi śmiesznymi cenami 99 fr. 98 cent., żeby łatwiej było oszukać samego siebie że bluzka nie kosztuje stu franków! Jakkolwiek cały przemysł belgijski po macoszemu obchodzi się z robotnicami domowymi, jednak zdolna robotnica zarobić może 20 fr. tygodniowo, podczas gdy najzdolniejsza koronczarka tylko 11 fr. 80 cent. Taki jest w rzeczywistości ten mglisty niciany belgijski sen!

Obok wyżej opisanej halli, jak na urzędowisko mieszczą się idealne domki robotnicze, istniejące podobno już w jakichś krajach obiecanych. Trzy pokoje, w skład których wchodzi kuchnia, jadalnia, salon i sypialnia; niezwykle schludne a nawet wykuintne, składają się na ten przyszły przybytek robotniczego domowego życia.

A teraz z siedliska nędzy i utopijnych marzeń, przeniosę czytelniczki do samego serca cywilizowanego świata.

Witła nas u wejścia wyolbrzymiała postać Republiki, i wskazywała ręką drogę do przybytku piękna, zwanego z europejską „Konfekcją damską“. (Dziś pozostały tylko popioły).

Oczy bolą od połyskliwej fali pailletek, srebra i złota, haftów i całej gamy barw! Wykłęta jaskrawsza barwa odzyskuje królowanie, obcisłość zaś sukien idzie crescendo — prawie wszystkie związane powyżej kolan, bardzo wąskie i składające się z kilku części, chociaż stanik stanowi nierozdzielalną całość z suknią. Idąc wśród tego lasu kolumn-lalek, powodzi barw i wdzięku póź, warto było zatrzymać się przy firmie Paquin, dającej kilka zestawień barw ciekawych nawet z punktu czysto malarskiego.

Ceglasty (brique) spód sukni pokrywa niebieska tunika; z boków dwie mocno fioletkowe szarfy będące dalszym ciągiem ubrania stanika. Na niebieskiej tunice haft w kolorze bordo. Całość nadzwyczaj oryginalna. Też firmy dwie suknie w stylu wschodnim, jedwabne, z bardzo ciężkim i szerokim, złotym haftem: jedna purpurowa z przybraniem błękitnem, druga modnego koloru brique, także złotem haftowana, obszyta u dołu pasem atlasu jaskrawo-zielonego, z czarnym futrzanym zakończeniem. W tym dziale zanotowałam tylko jeden kostium spacerowy, w kolorze róży herbacianej, ozdobiony płaskim haftem zielonym.

Kapelusz w tym samym tonie, z czarnym spodem, zdobny szeroką girlandą róż

herbacianych. Wogóle wytwory współczesnego Paryża olśniewają swoim przepychem.

Suknie podobno przeważnie robią mężczyźni-artysci. Wykwint dochodzi do szczytu.

Hafty oksydowane w złocie i srebrze, przechodzą w barwy lila i niebieskie, gubiąc się w arabeskach i smoczyczych zaplątaniach rysunku. Na powiewnych tkaninach wygląda to jak złota bajka o kwiatach, rybach i smokach, wypisana na powietrzu. Jestto jednak piekielne Mane-Tekel-Fares dla świata kobiecego współczesnej Europy. Inne jeszcze cuda widzimy w futrach, koronkach i piórach.

Ze świata mody przechodzę do świata sztuki stosowanej i znów Francja zdobyła zwiedzającą wstępne wrażenie. Uderzają pięknoscią meble Majorelle et Frères, witraże l'Ecole Nancy — Exposition collective d'artiste Lorrains; wazony z salonu dekoracyjnego Vallombreuse'a i wiele innych przedmiotów sztuki stosowanej, w których wdzięk, poczucie barwy i wrodzony francuzom wykwint w pełni się wypowiedziały.

Anglja i Niemcy imponują przeważnie przemysłem, lecz i tam jest kącik poświęcony strojom kobiecym. Praktyczne i w mglistej krainie wzrosłe angielskie odrzuciły skrupowanie ruchów. Najwybitniejszy tutaj naturalnie dział kostymów spacerowych, przeważnie krótkich spódnicek i zakietów krótkich i obcisłych.

Modne są płaszcze b. szerokie, ubierane futrem, piórami, haftem, rzadziej koronkami. Kapelusze z bardzo wysokimi i szerokimi główkami, wchodzące głęboko na oczy, podobne do przewróconych garnków. Bardzo noszone szale szarfy, czarne z białymi spodami, oszywane kilka razy futrem. Cóż kiedy, przy toaletach paryskich błędna inne.

Godzina 6-ta znaczy się zamknięciem pawilonów a otwarciem na rozcież pałaców rozrywek. Dział ten zwie się tutaj „plaine des attractions“. Można tam było przejechać się sankami po górach, spadając z szaloną szybkością w przepaść; pokręcić się w koło, staczając na ziemię na „roue joyeuse“; popłować na sztucznym morzu, a w końcu zobaczyć wystawę w oświetleniu motyli elektrycznych i świetlnych fal, wyglądających zdaleka jak olbrzymi pożar.

Używszy tych rozrywek wracam do pięknej Brukselli witana znów illuminacją, sapaniem samochodów i zgrzytaniem tramwajów elektrycznych.

Róża Hemplówna.



Z teatru.



Teatr Mały: „Niuta“ — komedia w 3 aktach.
F. Dörmana i St. Lewandowskiego.

Są autorowie, którzy potrafią z reminiscencji i obserwacji wysnuć niezłe wcale sceny, brak im jednak ducha dramatu, nie potrafią oni zestawiać walczących sił, pełnić kon-

sekwencyi charakterów do katastrofy. Utwory teatralne tych autorów mają szablonowo jednakie wady i zalety: w pierwszym i drugim akcie bywają dobre nieraz, dowcipne, dają doskonałe typy, żywcem przeniesione z mieszkań i bruków, fotografowane in flagranti, trzeci akt natomiast i dalsze, o ile są, łamią się, ziejają pustką, nie mają bowiem logicznego rozwiązania, nie mają dramatycznego momentu. Ponieważ w takich sztukach typy nie są syntetycznie stworzone, lecz transponowane pojedynczo, nie spotykają się z sobą wzajemnej kolizji z własnego rozpędu, lecz są sklejane.

Do takich utworów należy „Niuta“.

Niesłusznie przedewszystkiem nazwana komedią. Rozwój akcji jest poważny i tragiczny, a tylko tło, na którym akcja się zawiązuje, malowane jest farbami i liniami humorysty i satyryka, operującego wśród świata „Dulsczyzny“.

Niuta jest jedną z trzech córek domu, „o którym się nie mówi“. Jedną jej siostrzyca i „mama“ stoją na najniższym szczeblu ludzkiej godności, druga siostra ma jeszcze pewne ludzkie właściwości, zaś Niuta jest w tej rodzinie brylantem. Ma, co prawda, protektora staruszką, ale tylko dlatego, że ją do tego zmuszają.

Młody, naiwny do śmieszności, urzędnik banku — wprowadzony do „domu“ — zakochuje się w Niucie, a ona w nim. On postanawia się z nią ożenić, bo wierzy w jej czystość, wykrada ją więc i wprowadza do domu swej matki. Tymczasem, w ślad za zbiegiem — Niutą, zjawia się jej „mama“ i pragnąc naturalnie zerwać to małżeństwo, które zamach czyniłoby na dochody „rodzinki“ od pięknej Niuty, mającej już nawet zapis znaczny od „staruszki“, — demaskuje ją przed młodzieńcem, wierzącym w niepokalanie lubej. Młodzieniec wywija kozła i zwija chorągiewkę, mama uprowadza zbłąkaną Niutę, ta jednak rzuca się ze schodów na dół i zabija się.

Sztukę zaś zabija nieprawdopodobieństwo istnienia zarówno takiego typu jak Niuta, jak naiwnego i sentymentalnego, a jednocześnie tak brutalnie i samolubnie odtrącającego błagalny głos Niuty — jakim jest jej kawaler.

Teatr Letni „Zdobywca kobiet“ — komedia w 4 aktach Hermant'a.

Takie sztuki jak ostatnia premiera — mają we Francji powodzenie. Współczuć należy Francji, ale być dumnym można, że najgorsza ze sztuk polskich ubiegłego sezonu stoi wyżej od „Zdobywcy kobiet“ i ideowo i pod względem tematu, idyalogu, i psychologii osób, i roboty, scenicznej, i dowcipu, i budowy, i ujęcia artystycznego.

Stek brudów moralnych ostatniej kategorii stanowi tło sztuki, której bohaterem jest młody wicehrabia, zbankrutowany, żyjący na koszt bogatych arystokratek, człowiek bez ambicji, fałszerz weksli, kłamca i rozpustnik. Moralność burżuazji francuskiej wymaga, by w ostatnim akcie lotrzyk poczuł w sobie gwałtownie delikatny honor, zerwał ze swymi chlebobawczyniami, wyzwiał na pojedynek mę

za jednej ze swych kochanek, wreszcie ożenił się z cnotliwą panną z dobrego domu i dokończył swego żywota rentiera en bon père de famille.

My zaś od sztuki, od dramatu, od teatru żądamy zgoła czego innego i dlatego od „Zdobywcy kobiet“ dzieli nas głęboka przepaść, której nie myślimy zasypywać słowami.

Wytwornie grała scenę drugiego aktu p. Lüdowa w roli grande coquette, trochę za rubasznym był p. Wostrowski jak na wicehrabiego; liczna reszta ról — to manekiny, w które aktorzy nie wiele włożyć mogli.

Gustaw Olechowski.



Wystawa ruchoma.



Od Zarządu koła samopomocy przemysłowo-handlowej otrzymaliśmy następujący komunikat, będący sprawozdaniem z pierwszej marszruty wystawy ruchomej przemysłu krajowego.

Powołana przez koło samopomocy do życia instytucja wystawy ruchomej — jak to już zaznaczaliśmy niejednokrotnie, ma na celu zaznajomienie ze stanem naszego przemysłu możliwie jaknajwiększego ogółu, przez obwożenie po kraju okazów wszystkiego tego, co produkujemy i co może śmiało konkurować z zagranicą.

Nasze miasta prowincjonalne pod względem wystaw przemysłowych były zawsze upośledzone i o stworzeniu w nich wystaw wielkich myśleć było trudno, bo z jednej strony brak gwarancyi dużej frekwencji zniechęcał inicjatorów do pracy, z drugiej zaś mała przedsiębiorczość naszych firm przemysłowych nie wróżyła nigdy należytego obelśnienia wszystkich działów.

Koło samopomocy skromnymi środkami postanowiło przeciwdziałać tej obojętności wystawców i zwiedzających — przeciwdziałać przede wszystkim taniością: opłatę za miejsca ograniczono do minimum, zniżone ceny wejścia dla publiczności — słowem nie liczone na zyski, a jedynie wzięto w rachubę hasło: popierać przemysł krajowy! uświadamiać ogół o potrzebie jego istnienia, przeciwdziałać zalewowi tandety zagranicznej. Zadanie to nie łatwe, wymagające wiele czasu i wiele pracy, Koło w części już spełniło należycie.

Oto sprawozdanie z pierwszego okresu tej działalności.

Wystawa ruchoma wyruszyła w pierwszy swój objazd po kraju w dniu 1 kwietnia i do dnia 20 maja zwiedziła pięć miast.

Pierwszym etapem wystawy był Sosnowiec. Tu dzięki porozumieniu się z zarządem Domu Ludowego, wystawę złożoną z 15 tu kufrów, mieszczących kilkadziesiąt okazów 176 firm krajowych pomieszczono w lokalu Teatru Letniego, udzielonego bezpłatnie przez kopalnię Tow. „Renard“.

W ciągu 14-tu dni trwania wystawy zwiedziło ją za płatnymi biletami 6887 osób, za ulgowymi zaś i bezpłatnymi około 2000.

Zachęceniu powodzeniem wystawy przemysłowcy miejscowi powiększyli w liczbie siedmiu listę wystawców w tych działach, które nie były jeszcze reprezentowane.

Po za tym dowodem pożyteczności wystawy mamy do zanotowania jeszcze drugi —

oto dzięki wystawie powstał w Sosnowcu projekt założenia bazaru hurtowego wyrobów krajowych, polecanych przez wystawę, głównie galanterii i konfekcji, na co zbierane już są odpowiednie fundusze.

Już to jedno świadczy, że wystawa nie chybiła swego celu.

Drugim z kolei miastem była Częstochowa.

Tu naturalnie po wielkiej, zeszłorocznej wystawie przemysłowo-rolniczej, wystawa wędrowną była miniaturą. Mimo to oceniono należyście jej cel: stowarzyszenie rzemieślniczo-przemysłowe dało jej darmo lokal, zajęło się przygotowaniem terenu, zaangażowało wśród ludności miejscowej i ściągnęło na wystawę około 4000 osób.

W dniu 25 kwietnia wystawa stanęła w Radomsku. Powiększył wystawę miejscowy przemysł garncarski, drzewny, rymarski i kotlarski — pierwszy raz pokazany publicznie szerszemu ogółowi i zestawiony razem z innymi gałęziami naszego przemysłu. Zaniedbany, bo mało szerszemu ogółowi znany, przemysł ten, choć w ten sposób zwrócił na siebie uwagę i o ile objedzie z wystawą kraj, powszechnie zyska poparcie. Jednocześnie Radomsk i jego okolice upominały się o to, czego od przemysłu krajowego ludność miejscowa wymaga.

Dopytywano się tu głównie o nawozy sztuczne i próby tych firm, które nawozy takie wystawiły, cieszyły się powszechnym zainteresowaniem.

Z Radomska udano się do Piotrkowa, gdzie 4-ry dni goszczono w lokalu polskiego Stowarzyszenia rzemieślniczego pod wezwaniem Św. Józefa.

Wystawę zwiedziło 1000 osób, wśród których największe zainteresowanie wzbudziły wyroby przemysłu ludowego, wyroby szmuklerskie, zabawki i t. p. Te dziedziny naszego przemysłu znajdują tu niewątpliwie grunt bardzo podatny do swego rozwoju w postaci poważnego rynku zbytu.

Ostatnim etapem pierwszej marszruty były Siedlce — tu lubo cyfra zwiedzających była niewielka, wystawa jednak cel osiągnęła, bo miejscowe kupiectwo polskie interesowało się nią bardzo, a lubo małe liczebnie, ma poczuć obowiązek krajowego i hasło: „popierajmy przemysł własny“ rozumie i uznaje.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawiają pierwsze kroki wystawy ruchomej. Jeżeli do podanej wyżej cyfry zwiedzających dodamy, że rozdano kilkadziesiąt tysięcy reklam o przemyśle krajowym, że agitowano za pomocą kilkadziesiątu pogadanek w każdym mieście na rzecz tego przemysłu, że udzielano każdemu objaśnień, rad i wskazówek co i gdzie kraj produkuje, że uświadamiano o potrzebie rozumnej, obywatelskiej akcji w tym kierunku — będziemy mieli obraz bardzo żywotnej i bardzo poważnej działalności.

Obecnie wystawa szykuje się do nowej drogi, w którą wyrusza powiększona o kilka nowych kufrów z kilkadziesiąt nowymi firmami i z nabytem już doświadczeniem.

Szczegóły tej nowej marszruty podamy niebawem.



Chwila bieżąca.



— Zmarł w Warszawie znany literat Władysław Okręt, b. wydawca-redaktor „Nowin“ i „Wieku Nowego“.

— Z Kowala donoszą do „Gazety Warszawskiej“, że proboszcz miejscowy, ks. Ignacy Zbirochowicz usunął

z kościoła tablicę pamiątkową, wmurowaną ku czci króla Kazimierza Wielkiego i odsłoniętą d. 30 kwietnia r. b.

Proboszcz uczynił to na skutek rozporządzenia wiceministra spraw wewnętrznych, p. Kryżanowskiego, otrzymanego za pośrednictwem konsystorza dycezyi kujawsko-kaliskiej.

Napisy na pomniku króla Kazimierza są następujące:

„Kazimierzowi III, królowi Polskiemu, dla sławnych dzieł Wielkim, dla miłości ludu Królem Chłopków nazwanemu, w 600 rocznicę urodzin w Kowalu, w świetnej przeszłości na przyszłość otuchę biorący Parafianie Kowalscy 1310—30 kwietnia 1910 r.

i

„Polskę zastał drewnianą, murowaną został, statutem Wiślickim prawo polskie ugruntował, Akademię Krakowską ku chwale narodu założył, świątynie i klasztory ku czci Bożej wznosił, Wiarę katolicką na Rusi utwierdził, Ruś Czerwoną do Polski przyłączył“.

— Na uroczystość obchodu 80-jej rocznicy urodzin Cesarza Franciszka Józefa, zjechali się do Ischlu wszyscy członkowie rodziny cesarskiej. W pałacu odbyło się przedstawienie sztuki arcyksiężny Maryi-Waleryi, w wykonaniu sztuki wzięły udział dzieci arcyksiężny.

— Z powodu obaw przed cholerą służba zdrowia kolei Warszawsko - Wiedeńskiej przedsięwzięła szereg środków zapobiegawczych.

— Komitet petersburski dla walki z chorobami epidemicznymi wyasygnował 10,000 rubli w celu walki z dżumą w Odesie.

— Śledztwo przeciw rusińskim akademikom we Lwowie z powodu krwawych zajęć na uniwersytecie zostało ukończone. Prokurator Franke przystąpił do wystosowania aktu oskarżenia. Akademicy będą oskarżeni o gwałt publiczny, złośliwe uszkodzenie cudzej własności i ciężkie uszkodzenie ciała. Ponieważ adwokaci oskarżonych wniosli prośbę o delegację pozakrajowego sądu, akta odesłane będą do najwyższego trybunału.

— Zgodnie z danymi urzędowymi, wypadki dżumy w Odesie zaczynają się rozszerzać, z dniem każdym zagarniając coraz nowe dzielnice miasta i grupując się tymczasem głównie na kresach miasta.

— Z Włodawy otrzymujemy wiadomość, iż tamtejsze Towarzystwo rolnicze zostało zamknięte. Zawieszenie działalności T-wa nastąpiło z rozporządzenia komisji do spraw związków i stowarzyszeń przy rządzie gubernialnym siedleckim.

— Dnia 12-go sierpnia, w Frankfurcie nad Menem w sali, przepełnionej publicznością, prof. dr Ehrlich miał wykład o swoim preparacie przeciw syfilisowi. Dotychczas leczył on 3.300 osób. Co do dwustu chorych może powiedzieć, że zastrzyknięcie jego preparatu ocaliło je od śmierci. Dotychczas stwierdził tylko cztery wypadki śmierci osób leczonych. Trzy osoby zmarły nie z powodu zastrzyknięcia preparatu, ale z przyczyny osłabienia. Prof. Ehrlich zaprzecza wszelkim pobocznym objawom chorobowym, o których donoszą dzienniki.

Treść numeru:

Gra fal, powieść, przez Kaz. Przerwę-Tetmajera. — Dla dobra niewidomych, przez Jadwigę Warnkównę. — Wiecej światła..., przez d-ra fil. Tadeusza Koneczyńskiego. — Zygmunt Gloger, przez Władysława Nawróckiego. — Święty Fen, powieść, przez Macieja Wierzbńskiego. — Zagadnienia epoki niemowlęstwa, przez Emilję Węslawską. — W gaju, wiersz, przez Stanisława Birmy-Dróbeckiego. — Z listów do „Bluszcza“: Korespondencya z Brukseli, przez Różę Hemplównę. — Z teatru, przez Gustawa Olechowskiego. — Wystawa ruchoma. — Chwila bieżąca.

— Ogłoszenia.

Do niniejszego numeru dołącza się:

- 1) Opis robót z rycinami; odpowiedzi p. Marcèle.
- 2) Arkusz 15-ty powieści Jonasza Lie, p. t. „Małżeństwo“.

Sargia KALODONT
Niezbędny KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.
Zadać wszędzie

prawdziwy
przyjaciel KOBIEC
Krem Casimi
METAMORFOZA
Sprzedano więcej
DWA MILIONY SŁÓW
USUWA RADYKAŁNIE
PIĘGI, WEGRY, PLAMY, ZMARSZCZKI
ORAZ INNE DEFEKTY TWARZY.
ZATW. PRZ. DEPART. HANDLU I PRZEM.
za Nr 46831
ZADAC PODPISU
P. K. Lema

**Zakład fizyko-leczniczy
dla chorób kobiecych**
Szkoła 5 (Marszałkowska 140) tel. 119-34
D-rów S. HUBICKIEGO, L. LORENTOWICZA i S. WISZNICKIEGO
Leczenie wysięków i spraw zapalnych organów miednicy, leczenie tyfoidu i niedowładu jelit. Metody lecznicze: kąpiele świetlno-elektryczne, w gorącym powietrzu, kwaso-węglowe, mineralne, błotne nasładowe (błoto Krynicky i Ciechojnskie), okłady z błota limanowskiego i Fango, obciążanie, douches permanentes, elektryzacja, masaż wibracyjny i ręczny, gimnastyka lecznicza.
Wypożyczanie przyrządów do leczenia gorącym powietrzem. 265

7 klasowy zakład naukowy żeński z pensjonatem,
klasą wstępną i podwstępną
Wiktorji Jędrzejewskiej
Ciepła Nr 4.
Zapisy i egzaminy powakacyjne od 24 sierpnia. 367

Helena Mikulska
Magazyn i pracownia konfekcji i bielizny damskiej.
Całkowite kostiumy, Wyprawy, Bluzki, Suknie, Neglige, Bielizna, z materiałów własnych i powierzonych. Modele parzyckie. Nowy-Swiat Nr 7. Telefon Nr 187-32.

Gotuj na zapas
we właściwym sezonie
w konserwatorze J. Weck'a
groszek zielony, szabelbon, szparagi, wszelkie jarzyny, owoce, nawet kurpatwy i zwierzyne, a przez cały rok mieć je będziesz świeże, tanio, na każde zawołanie.
Reprezentanci J. Weck'a 297
KRZYSZTOF BRUN i SYN
w Warszawie, plac Teatralny.
Cenniki na żądanie franko i gratis!

I. Progimnazjum 6-klasowe (spodziewane 7 i 8 klasa)
ze wszystkimi prawami szkół rządowych dla nauczycieli i uczniów.
II. 8-klas Szkoła filologiczna, przysposabiająca także do egzaminu na świadectwa z którejkolwiek klasy gimnazjalnej, jako też na świadectwa nauczycielskie, wojskowe, urzędnicze, aptekarskie (lekarze mogą być i wieczorami). ŚWIEŹOKRZYŹSKA Nr 28.
Przełożony **R. KOWALSKI.**

Zmarszczki z twarzy usuwa **ABARID KREM** 368
otrzymany z cebulek białej lilii (Lilium candidum)
Perfumerya „PERFECTION” Warszawa, Szpitalna 10.
LWÓW: Pawłowski, ul. Sykstuska 43. POZNAŃ: Kantecka, Halldorfstrasse 4.

Firmowo-Komandytowe 365
— T-wo Perfumeryi — **„REKORD”**
E. Korwin-Szymanowski, I. Drozdzeński, St. Pozowski i S-ka
poleca mydła natłuszczone, toaletowe, mydła lanolinowe, kwiatowe, wody kolońskie, kwiatowe i perfumy, oraz wyroby kosmetyczne: l'Academie Scientifique de Beaute, Paris Madeleine. Jak również perfumy pierwszorzędnych firm zagranicznych. Warszawa, ul. Bracka 18, tel. 6.19.

Ratunek Grzebień Elektryczny D-ra Tillot'a w Paryżu. Zalecany wszystkim osobom bez różnicy wieku, dotkniętym chorobami włosów, lub pragnącym utrzymać zdrowotność tych że. Leczy skłonność do łysiny. Opóźnia siwiznę. **Włosów**
Skład główny: Zakład fryzjerski ROMANA PROCHOWSKIEGO Sienna 1. Telef 108-54.

NOWOŚĆ
w formie stożkowej do zawieszania
LEP NA MUCHY,
bardzo mocny, wygląd estetyczny, cena za sztukę 10 kop. poleca Skład papieru St. Winiarskiego, Warszawa, N.-Świat. 53!

PRZEJAZD SAMOCHODEM
do Libawy, Połagi, Memlu.
H. Kirchof, właściciel hotelu St. Petersburg w Libawie. Wyjazd z Libawy codzień o godz. 8 1/2 rano z hotelu St. Petersburg. 359

Pierwsz. Biuro Nauczycielskie
Leokadii Max
poleca: nauczycielki, nauczycieli, freblów - ki. Sprowadza cudzoziemki. Tel. 124.38. Warszawa, Marszałkowska 148.

KURSY FREBLÓWSKIE
dla nauczycielek i ochraniarek
Jadwigi Chraszczewskiej
Jerozolimska 21.
Gimnastyka rysunki, slójd, koszykarstwo. Pensjonat. Francuzka stale.

Nowość! Flakonik perfum, w wyborowym gatunku francuzkich, który można nosić w portmonetce, za rękawiczką i w kamizelce, cena 25 kop. poleca skład papieru **St. Winiarskiego**
WARSZAWA,
Nowy-Swiat Nr 53.

Schronienie
dla Nauczycielek
Biuro Rekomendacji
Personat dla przyjezdnych. Przyjmuje nauczycielki i pnielki, kształcące się na nauczycielki. Sienna Nr 3, róg Zielnej. Telefon Nr 42-30

Miara Figury
Nowość Wybratry do Samomasażu.
Okłady i Blotki minnowarzących systemów.
Pasy brzuszne Niezbędne po pólach i operacjach.
MAGAZYN OPTYCZNY S. Grabina
Marszałkowska 101. Telefon 47-67.
Pokój dla Pań. Wysyła za zaliczką.

„GLYROL”
zagranicą wytworne damy powszechnie używają Krem GLYROL, przekonawszy się, że środek ten chroni radykalnie cerę podczas pory zimowej Skład główny Bracia Orszagh, Warszawa.

7 kl. Zakład naukowy z klasami wstępnymi
ZOFII KUDASIEWICZÓWY
KOSZYKOWA Nr 13, (dom bar. Lessera). Zapis uczenie od 22 sierpnia między 12 a 6. g. (prócz świąt), egzamin 1 i 2 września. Lekcje 3 września.

CECHOWA SZKOŁA KROJU WARSZAWA
Nowy-Swiat Nr 42, telefon Nr 87-48. (Egzystująca lat 25).
M-me MERCÉRE
Kursy krawieczyny i bielizny. Patenty cechowe. Pracownia Sukien i Kostiumów. Pensjonat.

Prywatna 2 klasowa szkoła męska z pensjonatem
JÓZEFA PIOTROWSKIEGO
przy ulicy Sadowej Nr 10. Telefon Nr 117-37.
Przyjmuje chłopców od lat 7-10 nieumiejących czytać i pisać; między innymi stawia sobie za cel przygotowanie do egzaminów do klasy 3-ciej szkół średnich. Muzeum zaopatrzone we wszelkie pomoce naukowe. Lokal urządzoney higienicznie. Pomoc lekarska na miejscu. Zapis codziennie od g. 9-3 pp. Lekcje 5-go września

Najdoskonalsze, najekonomiczniejsze
AROMATYCZNE MYDŁO DO PRANIA „PERFEKT”
MYCIA WSZELKICH PRZEDMIOTÓW
skraca pranie, zmniejsza o połowę pracę, czyni bieliznę śnieżnie białą, wonną i trwałą, gdyż nie zawiera w sobie nic niszczącego. Piorąc Perfektem zbyteczne jest bielić! Perfekta dostać można we wszystkich renomowanych Składach Aptecznych, mydlarniach, w Warszawie i na prowincji.
Hurtowo: LUDWIK W. SZWEDE, Warszawa, Senatorska 28-30. Telefon 17-28

Borol na porę zimową uznano za najlepszy ze środków chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania. 278

Najlepsze środ. udelikatniające i wybielające skórę są
Krem, Alkohol i Mydło ogór.
wyrubu Apteki **M. Malinowskiego**
w Warszawie, Nowy-Swiat 58

Higiena Piękność!
Para na twarz to tryumf kosmetyki ostatniej doby.
Chroni od zmarszczek, węgów i pryszczy.
Wanna szklana rb. 10. Satynowa rb. 6. Skład główny.
W. PASZKOWSKI 109 Marszałkowska 109
róg Chmielnej. Żądać broszurki.

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki języków obcych w szkole i domu bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i kluczem pod tyt.:
Samouczek
Polsko-Niemiecki, kurs wstępny (Elementarz) po kop. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80; kurs II-gi k. 1.60.
Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20. Polsko-Francuski kurs I-y kop. 1.20; II-gi kop. 3.20. — Polsko-Angielski kurs I-y kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20. — Polsko-Ruski Elementarz, po kop. 5, 12, 24 i 40; — kurs I-y kop. 1.40; kurs II-gi kop. 1.80. Nakład autora (Reussnera), ulica Ziota 6, Warszawa.

BORXYL
PLYN KREM
niezawodny środek przeciw węgrom, pryszczom i wszelkim zakażeniom cery.
dla cery chropowatej, zmarszczonej, od piegów i wszelkich zacerwień.
Odswieża i udelikatnia. Gł. skład apteka Zamojska, w Warszawie.

Wiktora Askanasa
Mydło Zdrowia udelikatniające skórę, oraz
Odoryna płyn specyficzny przeciw nadmiernemu poceniu się
Marszałkowska Nr 139
kantor fabryczny w podwórzu.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie
KARPIŃSKIEJ
POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony, francuzki, niemki, angielski.
Warszawa, Moniuszki 7. 356

328
Biuro nauczycielskie „Załęski”
Warszawa, Widok 5.
Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony. — Francuzki, Angielski sprowadza z własnych biur zagranicznych.